



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

Walentyna z Trojanowskich

HOROSZKIEWICZOWA.

„Dusze nasze już się znają“—wyrzekł Stanisław Jachowicz wielki przyjaciel dzieci, do dziewczki kilkunastoletniej, wrzuszanej do głębi tem że mąż tej miary miał być odtąd jej przewodnikiem w wykształceniu umysłu. Dziewczką tą była s. p. Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa ur. 1818 roku w Sławatyczach, a zmarła po długich cierpieniach we Lwowie 25 Września b. r. Obdarzona talentem poetyckim s. p. Walentyna wcześniej już zaczęła pisywać wiersze drobne i komedyjki jak: „Alina z Prądnika“ itp. Kryła się z tem jednakże w domu rodziców, mieszkających wówczas w Żelechowie na pensyi, i dopiero wuj jej Ignacy Filipowicz odkrył jej tajemnicę, znalazłszy zwój cały pism Walentyny, schowany za lustrem. Kilka z nich drukiem ogłosił, do niektórych dorobiono nawet muzykę. Do tych więc wczesnych próbek talentu zmarłej odnoszą się powyższe słowa Jachowicza, irzeczywiście dusze to pokrewne, obie pałają gorącą chęcią kształcenia ludzi, i obie jedną też drogę obrały. S. p. Walentyna wychowała się i kształciła na pensyi w Warszawie objętej po Hofmanowej przez panią Plewińską, gdzie naczelnym dyrektorem czyli prezesem dozoru, był wówczas Samuel Bogumił Linde. Ukończywszy studia złożyła examen nauczycielski w r. 1843 przed kommissją egzaminacyjną.

Po zdaniu examinu, zamieszkała przy krewnych i poświęciła się pracy nad językiem i literaturą.

Pracowała, wierna powołaniu swemu, jako kobieta i wychowawczyni, cichą i ciągłą pracą przewodniczki moralnej i nauczycielki dziewcząt na pensyi p. Plewińskiej. Praca to była ciężka, lecz nie bezowocna i w sercu jej uczennic przechowało się tkliwe uczucie przywiązania, wyższego szacunku, który zdobyła sobie tklivą dobrocią serca, połączoną z rozumem.

Z czasów owych pochodzą pisma zbiorowe kobiet „Pierwiosnek“, noworocznik wydawany w Warszawie z Pauliną Kraków i Józefą Prusiecką następnie „Zorza“, miesięcznik, również ze współdziałaniem Pauliny Kraków. W pismach tych umieszczała s. p. Walentyna większą część prac swych. Na życzenie rodziców opuściła Warszawę i wróciła do domu, lecz nie nadługo, wkrótce bowiem ofiarowano jej trzy miejsca nauczycielki prywatnej, a mianowicie w domu ks. Radziwiłłów, Sanguszków i Sapiehów w Galicyi. Wybiera ostatnie. Odbywa liczne podróże, a to daje jej sposobność poznania najznakomitszych osobistości. Zawsze czynna i chciwa wiedzy, korzystając z każdej sposobności kształcenia się, uczy się malować u Cognet'a w Paryżu i sztuce tej wolne chwile poświęca. Lecz pomimo różnorodnych zajęć nie traci z oczu ani na chwilę celu, który sobie wytknęła. Pomocnym na tej drodze było jej wyjście za mąż, za człowieka, wyższego powołania umysłowego, Juliana Horoszkiewicza, późniejszego kassjera wydziału krajowego we Lwowie.

Ruch literacki i księgarski był w owych czasach tak słabym, że księgarz Jabłoński, pragnąc wydać książki naukowe, nie mógł znaleźć nigdzie na to funduszu. Co więc „robi? Oto w celu uzyskania go, drukuje kabałę panny Lenormand, i sztuka powiodła się, bo rozchwycona kabała przyniosła pożądany fundusz. Niezrażona taką obojętnością s. p. Walentyna stara się przede wszystkim rozbudzić zamiłowanie do książki, oświaty i wykształcenia umysłowego. Dąży do tego rozmaitemi drogami, gromadzi kilkanaście panie-

nek z klas wyższych urządza dla nich kurs literatury powszechniej.

W roku 1851 s. p. Walentyna wychodzi za mąż, opuszcza dom ks. Sapiehów a oddana życiu rodzinnemu nie przestaje brać czynnego udziału w zawiązywaniu i utrzymywaniu instytucyi dobroczynnych, których wiele staraniem ks. Leonowej Sapieżyny powstaje.

Miłośniczka muzyki poświęca niejedną chwilę by dać możność świeżo założonemu Towarzystwu a szczególnie jego chórom, do wykonania dzieł większych i podejmuje się żmudnej a trudnej pracy przekładu wierszem textów do kompozycyi tych rozmiarów jak: *Atalia* Mendelssohna, *Raj i Peri* Schumanna i t. p.

Niewysłowionej słodczy serca i poświęcenia dla bliźnich, w szpitalu założonym przez Sapiehów pielęgnuje chorych wraz ze s. p. Leonową Sapieżyną. Zczasem otwiera się jej nowe pole działalności, zakłada bowiem pensjonat dla dziewcząt, które dotychczas pozbawione sposobności kształcenia się wyższego, znajdują odrazu możność nabycia wszechstronnych wiadomości. Wprowadza zaś s. p. Horoszkiewiczowa do planu, nauki: geometryą, chemią, algebrą, kosmografią, estetykę z historią sztuki, pedagogią, z psychologią, historią literatury powszechniej, naukę gospodarstwa, rysunków i śpiewu chóralnego jako przedmiotów obowiązkowych—czem nadaje stanowczy zwrot w wychowaniu kobiet. Na nauki przyrodnicze i matematyczne, jako uczennica Wagi i Paszkowskiego, szczególnie kładła wielki nacisk, mawiała bowiem: „Kto umie rachować i patrzeć, ten umie i sądzić.“

W zakładzie swym zwracała też uwagę na wychowanie powierzonej sobie młodzieży, stawiała je bowiem zawsze na pierwszym miejscu, a zostawiając przytem odpowiednią swobodę pozostawiała charakterem rozwijając się samodzielnie; byłaby rada widzieć je pracujące dla rodziny, którą w poezjach swych bardzo stawia wysoko. Wpa-

jała w ich serca pojęcie, że przed człowiekiem staje zadanie wyższe niż myśl o sobie, owszem uczyła je że: „życie to obowiązek, a obowiązek spełniony — to szczęście na ziemi.“ Zyskiwała też sobie serca, które z ufnością garnęły się do swej kochanej przewodniczki, wiedziały bowiem, że znajdują tam radę i ukojenie, zachętę i pomoc.

W r. 1880, złamana strata ukochanej córki i znużona długoletnimi trudami wychowawczymi, zamyka pensjonat i usuwa się w zacisze domowe, lecz nie obojętnie pomimo to dla niczego, co było jej drogiem, owszem z doświadczeniem całego życia poświęca się wychowaniu starszych wnuków. W r. 1886 zdrowy sąd społeczeństwa, umiemy oceniać zasługę, powołuje ją na przewodniczkę nowo zawiązującej się instytucji. S. p. Walentyna została pierwszą przewodniczącą „Czytelnicy kobiet“ mającej na celu ułatwienie dalszego, samodzielnego kształcenia się kobietom, które obarczane obowiązkami codziennego życia, mogłyby pod ciężarem ich zapomnieć że: „nie iść wyżej, to cofać się.“ Wszakże praca całego życia i fizyczne cierpienia nie pozwoliły nieboszczce długo wytrwać na nowym stanowisku; ustąpiła po roku i wraz ze ś. p. ks. Leonową Sapieżyńną zaszczyconą została dyplomem członka honorowego. Cierpienia jej, wzmagać się ciągle, powaliły ją w ostatku dni na łożo boleści, i tylko wiara i tkliwe a serdeczne zajęcie się rodziny pozwoliły jej znieść je z poddaniem się iście chrześcijańskiem.

Felicja Węclewska.

WYCHOWANIE.

(Dokończenie).

Wychowanie tworzy postęp, bo jest to praca dla przyszłości. Jak nic nie ginie w naturze, bo materya przechodzi tylko w strony różne, tak nie ginie w moralnym rozwoju ludzkości i nieśmiertelność nie jest udziałem tych tylko, którzy dokonali czynów wielkich, zapisanych na kartach historii. Jest nieśmiertelność druga: nieśmiertelność tradycji. To co dziecko odbiera od rodziców w rozbudzeniu uczuć, w pojęciach o życiu i jego obowiązkach — celach istnienia ludzkiego na ziemi, nie tylko działa w czynach jego własnych, ale przechodzi spadkiem na pokolenia następne i idea tu wcielona pracuje przez szeregi lat w życiu, które wedle danych swoich urabia. Nic to jest ciągnąca się przez wieki i nikt wśród społeczeństw cywilizowanych nie wie nawet, co w istnieniu jego jest dorobkiem własnym, a co spuścizną, wziętą po tych, co żyli przed nim, i kto nie chce tu być dłużnikiem niewypłaconym, powinien oddać następcom swoim, tak w filiacji pojęć moralnych, jak w przykładach uczciwego życia to, co jako spadek po rodzicach otrzymał niegdyś w wychowaniu. W jaki-to sposób rody bogacą się materyalnie, w taki sposób gromadzą się nabytki moralne: tradycya cnót, tradycya wyobrażeń — pojęć o uczciwości, godności osobistej.

Miłość rodzicielska skłania ludzi naturalnie do staranności tkliwej w wychowaniu dzieci swoich, lecz w gruncie rzeczy jest to obowiązkowa spłata długu zaciągniętego u przeszłości, powinność takasama jak pamięć na to, że rodzice chowają dziecko, nie dla siebie, nie dla słodkich wzruszeń własnego serca, pociech własnego życia, ale przede wszystkim dla świata: dla ludzkości, a potem dla szczęścia i dobra tej istoty młodej, która oderwie się kiedyś od ich łona i żyć będzie na własny rachunek — na własną odpowiedzialność moralną i własnego szczęścia zarobek, do czego oni tylko powinni torować drogę. Każda istota ludzka posiada swoją własną indywidualność: porywy, pragnienia, zdolności, zadaniem też wychowania a obowiązkiem rodziców jest dopomagać do rozwoju tych obdarowań naturalnych,

stojąc tylko na gruncie uznanych pojęć moralnych o przeznaczeniu człowieka wśród ludzkości. Dziecko małe nie posiada rzeczywistej woli, dążenia w kierunku oznaczonym; są to jedynie porywy, których naturę rodzice powinni badać i, nie łamiąc rozwijającej się indywidualności, tak wychowaniem kierować, aby nie tu nie było zatłumione, nie w kierunku przeciwnym siłą popychane, bo jest to gwałt popełniany na duchu dziecka, które przecież będzie musiało żyć o sile własnej woli, i tę należy rodzicom tylko uszlachetniać, tylko od poziomego kierunku odwracać.

Wychowanie tak zrozumiane i prowadzone stworzy dziecku inteligencyą wyższą, bo myśl jego, zwracana wcześniej ku wyższym, szlachetniejszym celom, brać będzie z konieczności lot w tym kierunku, zostawiając na stronie to, co przez małość własną karłowaciłoby młodego ducha, przykuwając go do małości. Z kim kto przestaje, takim się staje... Kto od młodości otoczony będzie kołem spraw, zajęć życia poziomych, komu za młodu nie wywołano z piersi wzruszeń uczucia, odpowiadającego podnioslejszym stanom ludzkiego istnienia, ten rzadko kiedy, i to tylko przy wyższych obdarowaniach ducha, zdoła się podnieść do szlachetnego poglądu na życie i jego cele. Wyższa inteligencya, umysł wyższy wiele tu znaczy, bo szerszy pogląd na życie, z wyższego punktu istnienia naszego brany, nie pozwoli tonąć w małostkach i krępować sobie niemi ruchy myśli, zwracającej się ku górnieszym stronom naszego bytu i dla tego to oświecenie umysłu przez naukę zostało wcielone w wychowanie, dla tego stanowi i stanowiło od wieków niepodzielną część tego wychowania. Było tak już w Starożytności, bo człowiek prędko to pojął, że wyższa wiedza to więcej światła dla poglądów naszych na życie i jego sprawy, a przytem to, co się z jej nabyciem łączy: wyrobiona zdolność myślenia, zwracania się uszlachetnioną tego myślenia władzą w stronę życia oderwaną od małości powszedniego bytu — wszystko to sprawia, że umysł naukowo wykształcony daje człowiekowi inny punkt zapatrywania się na życie i ztąd inne życia tego interessa bierze on sobie do serca.

To są wysokie nauki korzyści, ale potrzeba postawić tu zastrzeżenie, że jest nauka, a nauka — że są obok różnych nauki kierunków, różne jej metody, co ma również niemałe znaczenie swoje. Umysł ludzki składa się z władz wielu, wyższych i niższych, i jeżeli nauczanie rozwinięte wszystkie w stosunku należytych: jeżeli nie usunie tych, które oddziaływaniem swoim uskrzydlały nam myśl, które jej dają powagę szlachetną i każą się zwracać w stronę podnioslejszych zadań, podnioslejszych zagadnień życia, wtedy prawdziwy cel nauki osiągnięty zostaje, bo wtedy jedynie rozwinąć się mogą te szlachetniejsze przymioty umysłu, które czynią wiedzę mądrością i wtedy, jak się wyraził poeta, wschodzi nam gwiazda Platona...

Są gałęzie wiedzy zgoła obojętne dla moralnego rozwoju człowieka, jeżeli nie otrzymają odpowiedniego sobie stosowania i ktoby naprzykład posiadał wszystkie języki świata, a w żadnym z nich nie dobrał się do tych źródeł wiadomości złego i dobrego, które, rozszerzając myśl, czynią go poważniejszym i na wyższe strony istnienia ludzkiego uważnym, zdobędzie sobie coś, jak ów worek znaleziony wśród pustyni przez zgłodniałego wędrowca, który zajrzawszy do jego wnętrza, jęknął boleśnie. — Myślałem, że to kasza, a to są dyamenty... zawołał z goryczą i takim jest stosunek nauki do życia, jeżeli nie będzie ona posiadać przymiotów karmienia umysłu tak, aby organizm nasz duchowy brał tu potrzebny dla życia posiłek. To, co za pomocą nauki staje się podniesieniem myśli do wyższych zagadnień istnienia naszego, co wskutek tego uszlachetnia nam serce i każe mu bić dla wzniosłych spraw, wzniosłych zadań ludzkiego żywota, to staje się w człowieku rozumem, bo jest dopiero wiadomością złego i dobrego.

Wychowanie powinno postawić przed młodością szlachetny ideał życia i to jest jego zadaniem głównym, z którym zgodnie kształcić należy

tak wszystkie władze uczucia i myślenia istoty wychowywanej, aby nigdy nie było rozstroju między wolą a pragnieniem. — Kto się osmiela nazywać filozofem, a milczy wobec obowiązku?... pytał groźnie Cyceron jeszcze, co znaczy, że zadaniem wykształconego rozumu, wiedzy wyższej jest uszlachetniać życie, wprowadzać w nie harmonią doskonałą: takim też powinien być ostatecznie cel nauki wszelkiej. Człowiek każdy żyje życiem dwojakim: istnieniem jego wewnętrznym, to jego myśli, uczucia, pożądania, obrazy wyobraźni i one to tworzą jego istotę moralną, która kieruje życiem zewnętrznym niewidzialnie i często jakoby bez własnej wiedzy naszej. Naraz coś nam zatarga sercem, coś nam się rzuci w piersi niespodziewanie i zniszczy wyrachowania, plany ułożone poprzednio i to jest ten utajony w nas człowiek drugi, to nasze ja, istniejące w głębi naszej i wyrwijące się z niej niespodziewanie w chwili silniejszego wzruszenia na szkodę lub pomoc, daną życiu w momencie jego stanowiącym. Nauczyc młodość, aby umiała stawiać sobie przed oczyma obraz życia szlachetnego, to nauczyc ją żyć dobrze i postawić się opornie wobec własnej woli swojej, gdy zesłała wiedzę w kierunku życia innym, niż ten, ku któremu dążą lepsze istoty naszej skłonności.

Edukacya-wyobraźni, tej siły, która, malując nam obrazy życia, stwarza zarysy pierwsze dla pragnień, pożądań naszych, jest tak ważną częścią wychowania, że postawić ją trzeba tuż obok kształcenia uczucia i rozumu. Francuz nazywa ją: „la folle du logis“, bo zdaje się tak nie posłuszną, kapryśną i nieujętą, że nie można nałożyć na nią praw żadnych, ująć w żadne pęta, ale jest to zdanie mylne i powierzchowne, bo wychowanie tak może urobić w młodej istocie wyobraźnią, jak może urobić w niej rozum. Niech celem przed myślą stawianym będzie zawsze istnienie wiedzione uczciwie; niech każą tej myśli zapalać się tylko do cnoty, przez szczęście rozumieć życie w zgodzie z obowiązkiem, a wyobraźnia czysta i szlachetna nie przedstawi tu nigdy złych obrazów używania tego życia. Być ona może według indywidualności naszej fantastyczną i górnolotną, być może skromną i potulną, ale zawsze malować będzie w oświeceniu idealnym to tylko, co umysłowi ukazane już zostało pod postacią prac, celów życia — blasków jego lub cieni.

Wyobraźnia kobiety bywa zwykle żywszą, gorętszą, nie przynosi jej to przecież szkody a raczej korzyść, jeżeli czysta i uczciwa, skierowana ku przedmiotom życia szlachetnym, jest jedynie pomocniczą władzą umysłu i nie góruje nad myślą, nie bierze przewagi nad uczuciem — nie unicestwia uwagi, której wyrobienie należy też do ważnych zadań wychowania. Uwaga daje nam widzieć życie w jego objawach nie tylko zewnętrznych i jest jedną z tych już władz, bez których człowiek nie może wyrobić się na istotę rozumną, bo ginie dla niego nauka, jaką powinien wynieść z obserwacji życia; do najważniejszych przecież powinności wychowania należy tak podnieść umysł młody, aby jego uwaga zwracała się głównie na to, co jest szlachetnego życia objawem — co jest okazem dążeń jego ku celom uczciwego życia i muszę powtórzyć tu raz jeszcze, że z kim kto przestaje, takim się staje. Kto od młodości będzie otoczony kołem spraw, zajęć poziomych, komu zatem w chwili kształcenia się wewnętrznego jego istoty braknie wzorów podnoszących ducha wzniosłe, wyprowadzających z piersi wzruszenia dobre — obrazów istnienia wyższego, niż życie tych ludzi, których poeta nazywa zjadaczami chleba, rzadko kiedy i tylko przy obdarowaniu wyjątkowo silnej i szlachetnej natury wyrobi się na osobistość, o której możnaby zawołać: „Oto człowiek!“

Wyższa inteligencya umysłu znaczy tu bardzo wiele, bo uskrzydlać umysł, otwiera nam światy nieznanne tym, którzy, trzymając się zawsze przy ziemi, nie umieją patrzeć ku górze, ale nie mniej wychowanie dobre daje pomoc i takim jednostkom wybranym, to też miłość macierzyńska — rodzicielska wogóle z wyjątkiem egoistów, bo ci nie kochają nigdy i nic prócz siebie — usiłuje zawsze, niemal na prawach instynktu, kształcić

tak dzieci swoje, aby droga ich życia wiodła do szczęścia i cnoty. Trzeba tu tylko znać przeznaczenie istoty ludzkiej na ziemi — wiedzieć, że życie żadne, przy najlepszych nawet okolicznościach nie prowadzi po różach jedynie, że człowiek każdy musi się spotkać z cierpieniem, musi mocować się z sercem własnym, z wolną niby wola swoją, i należy też wychowaniu podnieść tak przed oczyma młodości ideał szczęścia, aby się ono gruntoowało na spokoju sumienia, na niepożądanej nigdy przed własnymi naszymi oczyma dostojności i bogactwie ducha. Wtedy, nawet wśród cierpienia, wśród łez i żaloby jeszcze się coś tego szczęścia unieść zdoła, i kto ma tak zapewnioną sobie przyszłość życia przez szlachetne doli i niedoli ludzkiej pojęcie, ten otrzymał dobre — najlepsze wychowanie.

M. I.

„PRZEKLETY RÓD”

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

O kroków parę, na pięknym siwoszku, siedział młody jeździec, lewą rękę, którą trzymał wodze, miał nieco podniesioną: widać tylko co rumaka osadził, zdziwiony, a może zachwycony miwowlaną skargą dziewczęcia, w srebrne powietrze rzuconą.

Piękny był... Księżyc mu padał prosto na twarz, oświecał lica tryskające krwią młodą, zdrową, a okraszone jakimś ciekawym uśmiechem. Nos miał nie wielki, wąs bujny z fantazją podkreślony do góry.

Anusia stała chwilę, nie wiedząc sama, co począć, wreszcie odwróciła powoli głowę i iść zaczęła brzegiem stawu. Ale młodzieniec dał ostrogę koniowi, zatoczył koło i drogę jej przeciął. Musiała się zatrzymać.

Jeździec skorzystał z tej chwili: lekkim ruchem skoczył z konia i zdejmując kapelusz, stanął przed dziewczyną.

— Jestem Bolesław Ruszczyk

— A! wyrwało się z ust Anusi.

— Zna mnie pani?

— Nie, ale pan być musi synem pana Krzyżtofa, którego wszyscy sąsiedzi czczą i kochają.

— Od miłych dla mnie słów zaczęłaś pani rozmowę. Kocham ojca i czuję się szczęśliwym, że nie ja jeden go kocham.

— Pan tylko co z zagranicy wrócił? — rzuciła Anusia, robiąc krok naprzód.

— Tak, pan! — odpowiedział Bolesław, idąc koło niej.

Obrócił się i cmoknął na konia.

— Za mną!..

Siwosz zarżał i, podrzucając kształtną, małą głowę, dzwoniąc stalowym wędzidłem, drobnym krokiem zaczął iść w ślady pana.

— Co pan tu robił? — zaśmiała się dziewczyna, przypomniawszy niespodziane spotkanie.

— Dosiadłem przed wieczorem konia, by stare kąty odwiedzić, i wdzięczny jestem losowi, że mnie na tą grobelkę zaniósł.

— Dlaczego? — spytała.

— Bom poznał panią! — odpowiedział, pochylając się nieco i w oczy jej patrząc.

Anusia dostrzegła, że jej towarzyszy oczy miał śliczne. Spuściła ku ziemi źrenice, ale serce dziwnie jej jakoś bić zaczęło.

Szli tak przez łąkę, rozmawiając już z sobą jak starzy znajomi. Anusi nie kępowała obecność mało jej znajomego mężczyzny; przecież on był synem pana Krzyżtofa, który nieraz w przygodzie matce Weronice stawał, którego znała i odwiedzała czasami. Czuli tylko, że teraz nie bę-

dzie już mogła przekroczyć progę modrzewiowego dworku.

Rozmawiając, doszli do ogrodowej furtki.

— Pani tu mieszka? — zapytał Bolesław wstrzymując kroki.

— Tu, panie, z mamą.

— A! jaka szkoda, że nie mogę odprowadzić pani do progę jej mieszkania. Są pewne formy towarzyskie, którym ulegać musimy. Ale wkrótce złożę swój szacunek mamie pani i, mam nadzieję, że dla pani niemiłym gościem nie będę.

Ujął jej rękę i poczuł, że w uścisku jego zdrżała.

— Dobranoc pan!

— Dobranoc panu!

— Jak pani na imię?

— Anna.

— Matka moja miała to samo imię — szepnął Bolesław. — Śliczne!.. ja bardzo to imię — Kocham. Anna!.. Dobranoc... panno Anno.

Skoczył na konia, skłonił się raz jeszcze i ruszył.

Dziewczyna wbiegła do ogrodu, rzuciła się w krzewy róż polnych rosnących pod ogrodzeniem i okryta całą zielenią krzewów i cieniem drzew, rozpostartych nad nią, uniosła się na palcach patrząc na ścieżkę, którą odjechał Bolesław. Widziała, że obejrzał się raz i drugi, później spał konia i w lot pomknął.

Wesoła jak dziecko, śmiejąc się z milej niespodzianki poznania ładnego chłopca, wbiegła do pokoju matki, chcąc się ze wszystkiego wypowiadać. W drzwiach zatrzymała się jednak.

— Hm! — pomyślała — niby to nic... a jednak mama połażać może. Za co? a czy ja wiem za co? Pan Bolesław bardzo przystojny mężczyzna. Oto właśnie! No, i pan Ignacy przystojny. Tak, ale nie wahałabym się powiedzieć mamie, gdybym tak raz pierwszy spotkała się z panem Ignacym. A teraz? czegoś mi wstyd!.. Czego? a czy ja wiem czego? Otóż powiem!.. I co z tego mamie przyjdzie? Pan Bolesław odwiedzić nas obiecał, niech sam opowiada.

Ostrożnie, przyciskając dłonią bijące serce, wsunęła się do sypialni pani Weroniki. Rumieńce pełną falą grały jej na policzkach, usta się uśmiechały rozkosznie.

Pani Weronika siedziała przy stole nad rozłożonymi kartami; lampa przyémiona abażurem, koliste rzuciła światło, reszta pokoju w półmroku tonęła.

— Co to mam, kabała? — spytała Anusia siadając koło matki.

— Kabała, i bardzo dobrze wypada.

— Pewnie mówi to, co mamcia sobie życzy.

— Brzydka jeste! przecie nie okłamywałabym sama siebie. Uważaj! To...

— Pewnie ja.

— Tak! dama czerwonna to ty... a to pan Ignacy.

— Król żółdny?

— Aha.

— Wie mama, że on trochę do pana Ignacego podobny?

— Siedz cicho i słuchaj! Widzisz, droga się ułożyła.

— To znaczy, mam, że ja mam gdzieś wyjechać...

— Nie nie rozumiesz. To droga, którą pan Ignacy do ciebie chodzi. Teraz... uważaj! czerwonna dziewczątka. Wesele, Anusiu, wesele!

— Z nim, mam?

— Jużci, że nie z księdzem proboszczem. Tyłko... tu coś...

Pani Weronika podrapała się w głowę.

— Co, mamciu, co? — spytała szybko Anusia.

— Drugi konkurent.

— Jaki, mamciu, jaki?

— Aptekarz pewnie, ale ja-bym ciebie za nic w świecie mu nie oddała.

Wpatrzyła się w karty.

— Płaczę się... ale to nic, rozwiązanie dobre. Będiesz żoną Ignacego, Anusiu, jak amen w pacierzu.

— A może, mam, jest pacierz, w którym nie ma „amen“?..

— Ja o tem nie słyszałam, Anusiu.

Dziewczyna podniosła się powoli.

— Połóż mamciu, inną kabałę i lepiej zmieszaj karty. Dobranoc, mamciu!

Pocałowała matkę w rękę i poszła do siebie.

Nie położyła się jednak. Otworzyła okno, patrzyła na blaski miesięczne, snujące się w cieniach drzew ogrodowych, wdychała róż aromaty, czasem głosem wabiła słowiki, gdy umilkły, by znowu śpiewały.

We dworze pana Krzyżtofa było cicho; brytany spały u wrót: w jednym tylko oknie na końcu dworu paliło się światło. Była to izba przeznaczona dla Bolesława. Jacenty Siekacz sam ją urządził, zbrojownie z niej zrobił, na ścianach pozawieszał drogie sobie postacie.

Późnym wieczorem młody pan wrócił z wycieczki konnej; na ganku oczekiwał go Jacenty. Pan Krzyżtof już spał, więc Bolesław udał się do swego pokoju z towarzyszącym mu Siekaczem.

— Siadaj, stary wiarusie, pogawędzimy z sobą jak za lat dawnych, kiedyś to dzieciakowi pałace bajki mówił. Powiedz-no mi, Jacusiu, kto to jest Anusia Blińska? Spotkałem ją dzisiaj, ładne dziewczę, ale co więcej?..

Siekacz usiadł, pogładził łysinę i zaczął:

— Panna Anna, jest córką Józefa Grzegorza, dwóch imion Blińskiego, lekarza czwartego pułku, którego szwadron drugi...

— Zmieniaj front, stary! — zawołał Bolesław — mnie dzisiaj panna Anna, nie twój szwadron obchodzi. Kto był Bliński, wiem, ale nie wiem jaką jest jego córka.

Siekacz uśmiechnął się, pogładził sumiastego wąsa i mruknął znacząco:

— U—hum!

— No, dalej! — naglił Bolesław.

— A ja-bym do was, mospanie, powiedział: bliżej nie zawadził!

— Taak? — zaśmiał się Ruszczyk.

Zanurzył się w fotelu; Jacenty gładził wąsy i dalej prawil:

Anusia była dobra, o tem całe Krzyżtofony wiedziały; nie odmawiała chorem pomocy, ubogim wsparcia. Przed rokiem, gdy pan Krzyżtof zaniemógł ciężko, dniem i nocą czuwała przy jego łożu. Stary kochał ją, jak córkę, i dzieckiem swoim nazywał. Była rządną i gospodarną, czytała książki i karmiła gołębie, uczyła dziatwę wiejską...

Ładny obrazek przesunął się przed oczyma Bolesława. Widział Anusię przed sobą stojącą nad stawem, w białej sukience, wpatrzoną w światło księżyca, który świecił tak pięknie, a ona — nie kochała się.

— Zakochasz się, panienko, zobaczysz! — zawołał w duchu. Uściskał Siekacza, serdeczne mu dobranoc powiedział, zgasił światło i zasnął snem dobrym.

Zaświtał dzień, dzień ważny dla pana Ignacego Targańca. Około godziny dwunastej z ogromnym koszykiem rozmaitych bakalii szedł do dworku pani Weroniki. Uśmiechał się wesoło, pełen myśli najlepszych. W długie konkury nie będzie się bawił; za dwa, trzy tygodnie zagrają kościelne organy, i ksiądz Cyryak połączy szczęśliwych. Podchodził do bramy domku swojej bogdanki, gdy nagle drgnął i stanął jak wryty.

Piękny rumak stał uwiązany do sztachet, skubał wyczierające z ogródka główki rozkwitłych malw, ale jeździec na nim nie było. Z dworku dołatywał wesoły śmiech Anusi i towarzyszący jej głos mężczyzny.

— A to co za gość? — syknął.

Postawił koszyk z pomarańczami na ławce w ganku i szybko wszedł do salki.

— Bolesław! — zawołał nagle.

— Ignaś! — odpowiedział, podnosząc się z siedzenia, Ruszczyk.

Zbliżył się do dawnego kolegi i w ramiona go ujął.

— Powoli, panie szlachcic — odezwał się Targańca, unikając uścisków przyjaciela. — Może powalasz się koło kupca, który cukier i pieprz sprzedaje...

Bolesław śmiać się zaczął.

— Zawsześ tensam!

— A cóż, myślałaś może, że przejdę na waszą wiarę?

— Nie rozpoczynaj-że swarów, tutaj przynajmniej—rzekł Ruszczye.

— Dlaczego?

— Co pannie Annie do naszych dawnych kłótni i przekonani?

— A co tobie do panny Anny?—zapytał Ignacy szorstko.

Bolesław zmierzyl go oczyma. Anusia zdawała się być zakłopotaną niespodziewanym sporem.

— I to po długich latach niewidzenia tak się spotykają dawni kolledzy?—odezwała się z uśmiechem. — Pan Bolesław ma słusność, przy mnie klócić się nie wolno.

— Aa! — rzekł Ignacy z przyciskiem — ma słusność... Zapewne! szlachcie zawsze ma słusność...

— Nie bądź-że dziwakiem.

— Ja jestem kupcem, i ten przydomek panu zostawiam.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY

XCIX.

Początek zimy w Teatrze Rozmaitości.—„Sielanka wiosenna“, w Teatrze Wielkim: Shakespeare'a *As you like it* w przekładzie L. Ulricha, p. t. **Jak się wam podoba**, przedstawiona poraz pierwszy d. 16 Października.—Głos p. Zalewskiego w *Kuryerze Warszawskim* i obrona przez niego dla krytyki instancya apellacyjna.

Na początek pory zimowej dał nam Teatr Rozmaitości *Wielkie Bractwo* Fredry Syna. Było to wznowienie w dziesięć lat po pierwszym wystawieniu (1881). Sztuka nie była graną źle, ale się jakoś „ciągnęła“ a nawet, np. w ruinach, klaczyła; publiczność jednakże bawiła się nią dobrze, bo wesoly ten utwór, przechodzący w farsę, smutnych nawet rozśmiesza. Spotrzenie uczynione przed 10-ą laty utrzymało się tylko po ponownem widzeniu sztuki. Jaka szkoda, że Fredro syn nie chciał tematu tak wdzięcznego, tak narzucanego ustawicznie przez życie, opracować w poważną a wesolą komedya. Szedł już samą miedzą, potrzebował tylko pójść naprawo, a nie nalewo, i zamiast zwracać swe natchnienie na oklepanego Adolfa Nolskiego i dentystę Schmolsa, zwrócić je na uplastycznienie w obyczajach przysłowia: „przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli“. Charaktery nabrałyby wtedy zawartości i logiki wewnętrznej i zewnętrznej, a wypadki nie byłyby ani tak naciągane, ani wręcz nieprawdopodobne. Wtedy też i akt V nie potrzebowałby się cudacznie plątać przy pomocy dentysty i jego dzwonek, użytych w wiele lat później z takim powodzeniem przez Lubowskiego w II akcie *Przyjaciółki Zon*. Z tem wszystkim dobrze uczyniła reżyserya, wznawiając wesolą sztukę młodofredrowską.

Czy sztuka szekspirowska jest rzeczywiście „sielanką“? Zdaje mi się, że nadużyto wyrazu, a nadużył go i Kraszewski, za przykładem zagranicznych szekspirologów, w objaśnieniu wstępnem do przekładu Ulricha. Lepiej będzie nie wyszczególniać gatunku i pozostać na ogólnej, rodzajowej nazwie „fantazyja“. Do sielanki braknie jej naiwności, bezwiednego oddania się, lubości w używaniu rozkoszy Lasu Ardeńskiego. Zamało w niej jest tej, nad szczęściem młodych po macierzyńsku czuwającej, natury, a zawiele gryzącego oddechu po macoszemu z umysłami wybranymi obchodzącej się wiedzy życia, jaką daje społeczne z ludźmi obcowanie. Wartość tej sztuki polegać będzie zawsze na jej myślach satyrycznych, pełnych mądrości, nieraz głębokich, na maxymach, które wielki Anglik dystylował z kwiatów zbieranych na błotnistych łąkach żywota—wogóle na tem, co jego rozum w osłonach poetyczności umiał dać umysłowi, więcej niż uczuciu i wyobraźni. Saty-

ra tak dalece przejmuje nawskroś sztukę, że i miłość dwóch par prostaczych—z sarkastycznej więcej, niż z idyllicznej ukazana jest strony. Każdy to widzi w miłości Probiereczka (Touchstone) dla Audrey, a każdy po zastanowieniu dostrzeże i w miłości Sylwiusza dla Feby. Ośmieszanie wierszy, przybijanych na drzewach, opowiadanie o jeleniu, cała postać Jakóba, przypominająca epokę, w której powstawał już *Hamlet* (r. 1599), potrącanie o straszny nieraz los współczesnych *minorów*, młodszych braci w Anglii, ukształtowanie Rozalindy (przezwaney w przekładzie „Rozaliną“), raczej rozumowe niż uczuciowe, wreszcie wprowadzenie Martexta (po polsku nazwany „Psujtext“), osłabia jeszcze bardziej charakter sielankowy, jakim ludzi wzrok nasz w pierwszej chwili zupełne wyzwolenie się osób dramatu z pęt wszelkiego uspołecznienia. Lepiej przeto dać pokój sielance i mówić tylko o fantazyi, o komedyi zresztą, a najlepiej —o pohulance geniuszu, który z resztek zbywających od dzieł większych utkał tę powabną opowieść o losach dwóch niegodziwych: Fryderyka i Olivera, i dwóch zacnych braci: wygnanego księcia i Orlanda. Wzoru dostarczył mu romans Lodge'a z r. 1590 p. t. *Rosalynde*. W *Romeo i Julii* już znać, że Shakespeare powiastkę tę czytał. Dodanie dwóch siostr stryjecznych, księcia i trzech par zakochanych, wystarczyłoby już samo przez się do wytworzenia komedyi czy fantazyi; ale nie wystarczyło geniuszowi Shakespeare'a. Indywidualność jego umysłowa potrzebowała dla siebie jednej jeszcze postaci: Jakóba. Jest to najwyższy umysł w komedyi; wieje już od niego duch Hamleta. Ma on momenta wspaniałe w bólu nad światem.

Takim jest to włożone w usta błazna, ale jak najprawdziwsze samego Jakóba:

„Tak co godzina rośniem, dojrzewamy,
Tak co godzina gnijemy, gnijemy“.

A dalej:

„Daj mi pstrokatą odzież, daj mi wolność
Mówić co myślę, a ja ci powoli
Oczyszczę świata chorowite ciało,
Byle cierpliwie brał moje lekarstwo“

Albo te reflexy nad umierającym jeleniem:

...„Twój testament
Pisziesz jak wszyscy światowi panowie:
Zbyt już bogatym skarb swój przekazujesz“.

„O, lećcie piękni głuchych puszcz mieszkańce,
To moda dzisiaj; co macie poglądać
Na ubogiego konanie bankruta!“

Tak się tęskni do tego Jakóba, po epilogu sztuki, że się Shakespeare'a o skąpstwo oskarża: czemu go nie spotęgował, nie podniósł, wyżej jeszcze nie postawił?

Sztuka pełna jest mądrości. Wyjęte z niej pojedyncze zdania dałyby sentencyonarz, rzadkiej siły i prawdy. Młodość pomija te *mędrkowania* ale wiek późniejszy lgnie do nich, jak do poezyi praktycznego rozumu. Każdy bierze co mu miłe. Młody żyje, stary pamięta,—pamięta i myśli.

Jest i wiele dowcipu prawdziwie szekspirowskiego. Jest go nawet zbyt wiele i zbyt dosadnego w Rozalindzie, która więcej rezonuje jak mężczyzna dojrzały, niż, w przebraniu swoim nawet, kocha jako kobieta. Uniesień nad tą postacią nigdy nie podzielałem. Kiedym w r. 1876 dawał w tem piśmie szereg charakterów kobiecych Shakespeare'a, nie usłuchałem rad, aby i z Rozalindy zrobić rzut etyczny.

Wystawiono sztukę nadspodziewanie dobrze a zadanie nie było łatwe. Shakespeare, zwykle dużo zostawiający aktorowi i reżyserowi, w *Jak się wam podoba* reżyserowi szczególniejsz zabił klina. P. Ładnowski przecież umiał klin klinem wybić. Sposób, w jaki wystawił sztukę, daje mu prawo do szczerzego uznania. Zwłaszcza cały akt I, bardzo trudny, wyszedł, jak na nasze środki, doskonale. W puszczy dekoracye, rozkład, układ, umiejscowienie całe, dawało również złudzenie rzeczywistości zewnętrznej. Słusznie tylko zwrócił jeden

z krytyków (p. Zalewski w „Kuryerze Warszawskim“) uwagę na potrzebę ulepszenia inscenizacyi sceny VII aktu II, w chwili kiedy Orlando, odbiegłszy śpiesznie z głodu umierającego Adama, z obnażonym mieczem wpada do namiotu księżęcego, gdzie już suta zastawa daje skrętne zajęcie dworowi wygnanego księcia. Trzebać przecież zaznaczyć wrażenie tej napaści na obecnych. Słuszną też wydaje mi się uwaga p. Zalewskiego, że dla ciągłości wypadków należało utrzymać krótką scenę między księciem panującym a bratem niegodnym Orlanda, rozpoczynającą akt III. We wskazaniu sposobu, jakby się to bez długiej mitregi wykonać dało, łatwo dostrzedz człowieka obytego ze sceną, który tyle już sztuk własnych wystawił.

Zasługą reżyseryi jest i oczyszczenie przekładu, chociaż nie zupełne, ale przynajmniej z wyrażeń najbardziej rażących niedokładnością. Tak np. usunięcie „względów narodów“, mających oddać niezrozumiane przez tłumacza „the courtesy of Nations“ oryginału, w rozmowie prozą Orlanda z Oliverem w scenie I aktu I; rozwikłanie zmotanych słów w rozmowie tegoż samego Orlanda z Adamem w akcie II scenie VI: „*Thy conceit is nearer death than thy powers*“ (w przekładzie: „Blżej jesteś śmierci wyobraźnią, niż rzeczywistością braku sił“); dalej wyrzucenie „Berlina“ (w oryginale „*From the east to western Ind*“) z madrygału Orlanda w scenie II aktu III; przywrócenie „Gotów“ w miejsce niewiadomo jakim sposobem wprowadzonych przez Ulricha, czy przez Kraszewskiego, „kozaków“—wreszcie oczyszczenie tekstu w scenie I aktu IV z nieprzyzwoitego, zwłaszcza w ustach Celi, odezwania się do Rozalindy—były konieczne. Nie mówi się też „Pitagores“, ale „Pytagoras“. Nie-by na tem i Rozalinda nie straciła, gdyby jej dowcipu o sąsiędzie wcale mówić nie dano (akt IV scena I wiersz 222). Samo złagodzenie nie wystarcza, choć dowcip sam w sobie dobry.

Pierwszeństwo w pochwałach dla aktorów należy się p. Ludowej jako Rozalindzie. Zyskała ona nową rolę dla siebie i dla publiczności. Przy wielkim wdzięku, od osobistości artystki nieodłącznym, Rozalinda p. Ludowej ma śmiałość, żywość, ma styl życia i prawdy — którego braknie tylu artystom, względnie nawet zdolnym, a bezwzględnie rozumnym. Jeżeli była jaka niedoskonałość, to według mnie, w scenie z Orlandem na początku aktu IV, gdzie miłość wraz z przybraniem męskiej postaci tamowana i tajona — jedno z nieprawdopodobieństw, które Shakespeare'owi w tej fantazyi każdy wybaczy — pod szklącą się powłoką sarkazmu przeswitywać powinna uroczym swym blaskiem, nietylko w słowach, ale i w grze niemej. W tej grze nawet ma aktorka tak rozległe pole, że może znakomicie wzbogacić samą rolę, dając w objawach tęsknoty i rwania się do ukochanego coś jakby pieśń bez słów. Zresztą gra wyborna.

Drugim z rzędu był p. Ładnowski jako Jakób pessimista. Ucharakteryzował się dobrze, dobrze się też ruszał i mówił — stał na wysokości swego zadania. Wywiązał się także i ze swego p. Frenkiel, szkoda tylko, że z większą żywością, niż subtelnością w tych sarkazmach, które subtelności wymagają. Wszyscy pracowali—jak mogli, choć nie wszyscy tak, żeby ich aż chwalić było potrzeba. P. Prażmowski, jak najczęściej bywa, nie umiał już kochać na scenie — przynajmniej ciepło nie szło od jego Orlanda. I p. Barszczewska nie odznaczyła się jako Celia. Ale, powtarzam, całość była dobra, nadspodziewanie dobra, dzięki reżyseryi. Wystawę dała dyrekcya w granicach naszych środków, godną sztuki szekspirowskiej. Jaka to różnica od dawnych *Lcarów*, *Romeów*, *Hamletów*, *Kupców* w najświetniejszej dobie nowszego okresu sceny warszawskiej, za dni już naszych, za panowania Modrzejowskiej! Meiningerzy nie nadaremnie przeciągali przez Warszawę.

Przed rokiem już przeszło, bo w Lipcu 1890 r., miałem na tem miejscu sposobność roztrząsać zdanie p. Zalewskiego, autora i krytyka teatralnego, o tem: kto jest rzeczywiście powołanym do robienia zegarków — zegarmistrz czy, dajmy na

to, kowal? P. Zalewski twierdził, że zegarmistrz, ja wyraziłem zdanie, że i kowal się przyda. Pod formami twardego rzemiosła i miękkiego kunsztu ukrywało się pisanie krytyk teatralnych przez ludzi nie będących autorami dramatycznymi, i pisanie ich przez samych właśnie autorów, jako najlepiej znających się na budowie sztuk, które p. Zalewski pośrednio do zegarków przyrównał.

Dziś z powodu obszernego bardzo sprawozdania p. Zalewskiego w *Kuryerze Warszawskim* w Nr. 288 o *Jak się wam podoba* — widzę potrzebę ponownego złożenia się z nim — ale na lekko. W sprawozdaniu swoim autor *Naszych zwycięzów* dotyka spraw polemicznych, które go osobiście obchodzą, i rzuciwszy mimochodem uwagę, nie zupełnie prawdziwą, o powołaniu dziennika, jako organu obsługującego publiczność, wygłasza zasadę: „Zostawmy publiczności berło krytyki najwyższej a głos stronom na właściwym miejscu: artyście w teatrze, recenzentowi na szpaltach dziennika“.

Skromność w krytyce wielka, ale niewielka prawda w postawionej przez niego zasadzie. Gdybyśmy berło najwyższej krytyki publiczności oddawać mieli — w cóżby się krytyka nasza zamieniła? W jakieś podrzędne subselium najwyższego, a nie ujętego, jak mgła rozwiewającego się, a często i jak mgła światło zasłaniającego trybunału. Pochlebiamy to zapewne publiczności, ale pochlebstwo, sprawiając przyjemność, nikogo nie utuczy, nikomu nie nada praw, których przedtem nie miał. Niech każdy zostanie przy prawach swoich: publiczność niech swoją wrażliwością zbiera pierwsze wrażenia, krytyka znowu swoją rozumowością — i opanowywaniem wrażeń, aby jej samej nie porwały — niech krytykuje, i sztukę, i samą publiczność. Takie jest jej prawo — i przy takim stać ona powinna. lekceważąc sobie uprzejmość dla publiczności, ilekroć coś wewnątrz przeciwko niej zatarga.

A jeżeli już ma być jakaś instancja wyższa, to już nad publicznością w krytyce, a nie odwrotnie w publiczności nad krytyką. Gdyby inaczej było, mogłaby publiczność krytykom powiedzieć: Idźcie spać, a tymczasem krytyka im mówi: „Piszcie, tylko piszcie dobrze“. P. Zalewski pisze recenzje swoje dobrze i publiczność sama nawet nie myśli korzystać z jego uprzejmości i podejmować berła najwyższej krytyki: woli tę zwykłą, dotychczasową, jaką ma. I tak jest na całym świecie i inaczej być nie może i nie będzie. Nie publiczność jest najwyższym trybunałem, ale potomność: przyszła historia umysłowości, sceny, literatury, krytyki — i samej publiczności.

Stanisław Krzeminski.

RUCH MUZYCZNY.

Towarzystwo muzyczne, jako mu się z urzędu ten zaszczyt należy, dało hasło do rozpoczęcia sezonu koncertowego i począwszy od dnia 30-go zeszłego miesiąca, kikakrotnie już w salach swoich zgromadziło nader liczne audytorium. Nie każdy wprawdzie koncert odpowiadał ściśle swoim artystycznym celom, któremi są: dać wrażenia miłe lub podniosłe, zaznajomić z nowszymi kompozycjami, lub grą wirtuozowską zaciekać; nakoniec wykazać szerszemu kołu, postępy i dążenia młodych adeptów sztuki. Nie będziemy też kolejno i ściśle roztrząsać wartości owych wieczorów, z których pierwszy zwłaszcza, urządzony jakby *par force*, domowymi środkami, mocno przypominał owe *divertissements* niedzielne w zaufanym familijnym gronku. Następny większy wieczór, mógł już trochę więcej zainteresować; dano nam usłyszeć grę na wiolonczeli p. Stanisława Jarońskiego, śpiew panny Marty Jankowskiej, oraz deklamacyę panny Anieli Bogusławskiej; dano nam przeto pole do sądu

o adeptach młodych, torujących sobie drogę do sławy.

Panna Jankowska, zaprodukowała głos swój w kilku pieśniach oraz w Aryi Beriota: „Prendi“. Ostatnia ta kompozycja należy do archaizmów w sztuce. Aby rzecz dawna utrzymała swą wartość wobec wymagań postępu, musi należeć do utworów genialnych, do pierwowzorów piękna i prawdy, które się nigdy nie starzeją; inaczej cofnąć się musi do pamiątek katalogu chronologicznego dzieł twórczych. Na takich pamiątkach nie radzimy kształcić gustu. Wykonanie Aryi, słabo zaznaczyło postępy panny Jankowskiej w śpiewie, który był nam już znany z poprzednich popisów. Pan Stanisław Jaroński wiolonczellista, wykazał sporą zasobność wiedzy i trafne pojęcie, lecz ton niezmiernie słaby, nadaje grze jego ogólną mdłą barwę, w której nikną frazy muzyczne, wymagające potężniejszego zaakcentowania. Akompaniament fortepianowy, prowadzony przez p. Henryka Melcera zbyt hałaśliwie i przyciskowo, nie przyczynił się też do uwydatnienia wiolonczellowej partii z natury rzeczy bogatszej i wymagającej, aby ją pozostawić en relief. To też słuchacz niejednokrotnie zadawał sobie pytanie: który z wykonawców ma być — solistą. Pan Jaroński wykonał: Allegro z sonaty Griega, „Balladę“ Goldermana i Tarantellę Poppera; koncert ożywiła bardzo deklamacya panny Bogusławskiej, obdarzonej głosem dźwięcznym o głębokim altowem brzmieniu. Co do chórowi Towarzystwa, na których spoczęło dopełnienie programu, wolelibyśmy o nich zamilczeć, dopokąd znowu po wakacyjnem intermezzo, nie wdroszą się do pracy i karności na skinięcie dyrektorskiej batuty.

Trzeci (większy) wieczór Towarzystwa, stanowiąc już prawdziwą, artystyczną uroczystość gdzie królowała młoda wiolonistka panna Metaura Torricelli, pierwszy raz dająca się poznać Warszawie. Jestto rodzaj gry, wobec której trudno sformułować chłodny i spokojny sąd krytyczny; w grze tej bowiem są czynniki władcze, które opanowują duszę słuchacza i tętnom każą silniej a szybciej uderzać. Artyzm to południowy, gorący, gdzie siła talentu polega na temperamentem rasowym, wrodzonym, którego u innych artystów nie wyrobi ani inteligencja ani usilna praca. Panna Torricelli krzesze iskierki z instrumentu i pociągnięciem smyczka go rozplómienia, obok zaś tej natury, pełnej energii, ciepła, werwy młodzieńczej, posiada intuicyę artystyczną i już niepospolity zasób techniki, która jej pozwala świetnie interpretować dzieła trudniejsze, umyślnie na smyczkowy popis tworzone. Cóż dziwnego, że przy takich danych, drobne usterki maleją, nikną? Ochłonawszy nawet z pierwszego wrażenia, jeśli tej gry nie nazwiemy skończoną, to wszakże, nic innego nie możemy powiedzieć nad to, iż dawno nie słyszeliśmy wirtuozki tak serdecznie umiejacej porwać i zapaleć swoim ogarnąć słuchacza. Panna Torricelli wykonała „koncert Edur“ *Vieuxtemps'a*, „*Berceuse slave*“, Nerudy, „*Moise*“ waryacje na jednej strunie, Paganiniego, „*Les trilles du diable*“, Tartiniego, *Danse bohémienne*, *Nacheza* i „*Nocturne*“ Chopin'a. Żalujemy doprawdy, że te dodatnie wrażenia owego wieczoru popsul nam p. Buddéus, fortepianista mniej niż średniej miary. W wykonaniu do wysokiego stopnia zamazanem i nieczystym, uraczył on nas kompozycjami: Wagnera-Liszta (*Isolde's Liebestod*) Straussa-Tauziga (Walc) i Liszta (*Liebestraum*). Interpretatorką wokalnych numerów programu była panna Pleszczyńska; głosem ładnym i czystym, lecz ze stoicką obojętnością odśpiewała Aryę Verdiego „*Pace*“, „*Balladę*“, *Gomez*, i „*Ricordi*“ Denza, przejmując słuchacza chłodem, który wiał z pieśni wcale nieodczutych i nie ożywionych najmniejszą iskierką serdecznego zapala.

W parę dni po tym wieczorze odbył się w Towarzystwie Muzycznym tylekrotnie wywoływany pressją opinii publicznej, koncert na rzecz rodziny s. p. Wł. Wiślickiego, zasłużonego inicjatora i założyciela tegoż Towarzystwa. Wyborne siły wykonawcze znalazły się na estradzie. Panna Torricelli całą duszę swoją młodą i wrzącą

zakłęła w tony; i znowu uczuliśmy się porwani jej serdecznym zapalem, siłą tej gry inteligentnej, ciepłej, prawdziwym talentem owianej, tak, iż nawet nie wypada wspominać o brakach małej wagi, które niewątpliwie z czasem, dzięki głębszym studjom i doświadczeniu usuniętemi zostaną. Program panny Torricelli stanowiły tym razem: „*Fantaisie-caprice*“ *Vieuxtemps'a*, „*Nocturn*“ Chopin-Sarassate, „*Pasquinade*“ Tirindello, „*Zigeunerwesen*“ Sarassatego. Pani Krajewska w starannym śpiewie odtworzyła nam kompozycje: Wł. Wiślickiego i Münchheimera. Mieliśmy również przyjemność słyszeć p. Jeromina, o którym zawsze wyrażamy się z serdecznym uznaniem i pana Michałowskiego, który, powtarzać nie trzeba jak jest ulubionym i cenionym, jaką rozkosz sprawia słuchaczom, ilekroć że chce obdarzyć ich daną swego talentu. Na wstęp koncertu, orkiestra amatorska Towarzystwa Muzycznego wykonała uverture z opery „*Kalmora*“ Kurpińskiego, a na zakończenie wspaniałej uczy artystycznej—*Poloneza* Komorowskiego „*Chociaż to życie*“ uwidoczniając tem wykonaniem postępy wielkie, pracę nieplonną.

I cóż rezultat koncertu? Czy materialnie od powiedział celowi w którego imię z taką starannością został urządzony? Czy stawili się do apelu członkowie Towarzystwa, z takim zapalem ongi sprawę agitujący? Niestety, sala była prawie pustą, aż chłodny dreszcz przejmował.

Na scenie Wielkiej Opery, przeważnie dotąd panuje: „*Królowa Saby*“, bo na wzór innych wielkich miast i u nas trzeba wytrwale powtarzać te same przedstawienia, dopokąd „*tout Varsovie n'y passe*“. Ale dla sprawodawcy, rzecz to niezbyt przyjemna, dlatego, zobaczywszy niespodzianie Fausta na afiszu, pośpieszyliśmy orzeźwić ducha tem arcydziełem i ujrzeć je w nowej zewnętrznej szacie. Bodźca dodawała także ciekawość usłyszenia w rolach *Małgorzaty* i *Fausta*: panny Busi i pana Suagnes, lubo z góry nie wieleśmy sobie z tego występu obiecywali. Szkoda, że młodzi owi artyści tak wadliwie spożytkowują okazały materiał swoich głosów, siłąc się na szarżę i przesadę tam, gdzie prawda i ciepło serdecznego uczucia wystarcza. Akcja także, zwłaszcza u p. Suagnes, pozbawiona wdzięku, zbyt wiele pozostawia do życzenia. Pan Sillich, (*Mefistofel*) rolę swoją traktował *con amore*, nieco tylko za wiele szafując siłą i potęgą brzmienia. Pan Chodakowski jako *Walenty*, z całego personelu najlepiej utrzymał się w prawidłowych granicach artyzmu. Cóż powiedzieć o samej operze? Te niezrównane pieśni chyba nigdy nie przestaną głęboko wzruszać i unosić słuchacza, a bogactwo ich tak hojnie rozsypane, starczyłoby za wątek do setki oper nowego kierunku. Opera wystawiona świetnie, w przepychu nowych kostyumów, dekoracyi i efektów, szła pod dyktando p. Trombiniego.

W braku innych scenicznych nowości, mamy oto na scenie Teatru Letniego, operettę *Millockera*: „*Wice-Admirał*“; wątpimy jednak, czy nawet najmniej wybredni zwolennicy muzyki lżejszej, znajdują przyjemność w tem tutti frutti złożonem z rozmaitych cudzych i p. *Millockera* produkcyi. Z dwojga złego wybierając, milsze jeszcze wrażenie sprawiają w tej operacie reminiscencje, kawałki wstawione dość zręcznie dla zastąpienia ubogiej imaginacyi kompozytora tytularnego. Są tam znane piosenki i mazury, dzięki którym dość raźnie porusza się akcja, osnuta zresztą na treści banalnej, nie przynoszącej zaszczytu, zbiorowemu dowcipowi p. p. Zella i Génego, twórców libretta. Jako kto może, tak służy społeczeństwu, które przecież radeby się czasami otrząsnąć z pesymistycznej, szarej pleśni i poweselić się a pośmiać serdecznie. Idzie tedy publiczność, podąża do tych źródeł wesołości, ale, niestety doznaje zawodu, gdyż tak bardzo śmiać się niema z czego. Jako najudatniejsze chwile muzyczne, możemy zanotować ledwie parę numerów: tercetek w akcie pierwszym, jakaś piosenka w akcie drugim i chór ostatni o nucie trochę świeższej i rytmice zreszcie postawionej. Ale na to wszystko składają się aż trzy akty, będące, jak się wyżej powiedziało, po większej części lepianką. Wystawa operety bardzo ładna a nawet

kosztowna, przywodzi na myśl piękną oprawę do kamienia podejrzanego wartości. Mimo niesmaku wszakże, który był summa wrażeń, musimy oddać sprawiedliwość wykonawcom głównych ról: (panie: Święcka, Czosnowska, Manowska; p. p. Morozowicz, Olszewski, Misiewicz) którzy dokładali starań, by zainteresować publiczność i podtrzymać honor premiery.

Juljusz Stettler.

NOWINY PARYŻKIE.

W Październiku 1891 r.

Spóźniony sezon ogórkowy. — Pustki paryżkie. — Wakacje i stacje lecznicze. — Słoneczny Wrzesień. — Jego nowiny i fakta. — Śmierć p. Grévy'ego, byłego prezydenta Rzeczypospolitej Francuzkiej. — Charakterystyka człowieka. — Gorzkie dni ostatnie. — Pogrzeb w rodzinnym mieście. — Opinia publiczna w Paryżu. — Obojętność stolicy i kraju. — Wielkie manewra wojska. — Znaczenie ich i wrażenia. — Co zdaje się być główną myślą. — Ostatni przegląd. — Wyścigi bcyklistów z Paryża do Brest'u. — Jak się to odbyło. — Zachwyt gapiów paryżkich. — Tryumfator i jego życiorys. — *Lohengrin* w operze Paryżkiej. — Powody do rozruchów ulicznych. — Przergrana — Sąd o Wagnerze, dwóch znakomitych mistrzów francuzkich: Berlioz'a i Gounod'a. — Bankiet w Bretanii dla p. Renana i jego nowe przemówienie.

Żyjemy w kraju i w mieście, gdzie, zdawałoby się, kronikarze nie mają czasu próżnować, gdzie każda chwila coś nowego przynosi, i gdzie czas, ma rzeczywiście wartość samego już złota. Tak by się zdawało, ale w rzeczy samej tak nie jest. Bo oto Sierpień, choć burzliwy, drżysty, senny, jakby wymiół, opustoszył Paryż i byliśmy dziwnie pozbawieni wszelkiego materiału, tembardziej, że nie wszystko co tu się staje na bruku, warte jest zamieszczenia na karty waszej kroniki.

Pustki politycznego świata. Wakacje wszelkich zakładów i instytucji. Wieś, morze i stacje lecznicze i nielecznicze, nie oddały nam i dotąd zabranych gości. Sama nawet gorączka kongresowa znikła tak raptownie z naszego bruku i od miesiąca żaden wypadek tej strasznej epidemii nie pokazał się na żadnym punkcie stolicy. Czy ślina zaschła w gębie mówców, czy zbrakło wątku do zwykłej fakundyli.

Zato początek Września, ogrzany i oświecony słońcem, jak żaden dotąd miesiąc bieżącego roku, sypnął nam gradem nowin i nowinek.

Pierwszym faktem i w porządku chronologicznym z powodu ważności, jest śmierć p. Grévy'ego trzeciego z porządku Prezydenta Rzeczypospolitej Francuzkiej. Zmarł on w departamencie Jura w swem wiejskim domu w Mont-Sous-Vaudray, 9 Września o godzinie 7-ej z rana, prawie bez bolesnego i dłuższego konania, zmarł wśród swoich współpoufianców i starych przyjaciół.

Nieboszczyk, jak każdy ze śmiertelnych, miał swoje przymioty i wady. Był on prawdziwym i prawnym synem tej ziemi, która tu nosi dawne i stare nazwisko: Franche-Comté, a której mieszkańców tak charakteryzuje geograf francuzki Reclus: Intelligentny i poczciwy koleżka (*bon-homme*) mieszkaniec Franche-Comté, chociaż bardzo przeczorny (*avisé*) jest gościnnie, pełen porządku i oszczędności, może trochę zadaleko posuniętej.

Takim też był Grévy, jakby typ swej ziemi. Zresztą jeśli i miał wady, nieodłączne od swych przymiotów, nie przyszła jeszcze godzina, aby równoważyć jedne z drugimi, ale mówiąc sprawiedliwiej obrachowawszy jedno i drugie, przyznać potrzeba, że pozostaje po nim pamięć człowieka, któremu republikańska Francja winna jest wielką i głęboką wdzięczność, tem większą, że w ostatnich chwilach jego życia, wówczas gdy się usunął od niewdzięcznej władzy, rodacy jego, zawsze pochopni do sądów namiętnych a dorywczych, nie uważali tego człowieka, którego przewalili poufałym nazwiskiem Ojca Grévy'ego

(*Le père Grévy*), jak tylko za dawniejszego urzędnika najwyższego, jeżeli chcecie, urzędnika stanu, ale wydalonego ze służby, będzie temu lat cztery, przez tych właśnie którzy go wybrali na ten urząd, — wydalonego z pewnym brutalstwem.

A pod tym blichtrzem świetnej cywilizacji i szablonowej grzeczności ludzie tutejsi są niemiłosiernie okrutni. Niedościm było, że złożyli z urzędu, starali się jeszcze zbeszcześcić. Niech więc dadzą nam pokój, śpiewając jego pochwały, są to lży krokodyle. Co jest prawdą niezaprzeczoną w oczach świadków sumiennych, że od czasu swego upadku Grévy nie znalazł dziecięciu przyjaciół, aby zapewnić skromny salonik swego hotelu przy ulicy Jena. Całe jego towarzystwo ograniczało się do kilku zaufanych przyjaciół, bez żadnego wybitnego znaczenia lub wziętości, do dzieci i wnuków, które ubóstwiał, ale prócz tych skazany był i pozostał jakby banitą świata politycznego. I na nieszczęście dla staro prezydenta, jeżeli przyćmiona jest dziś pamięć jego, to przez urzędowe pisma i papiery, które złożono w archiwum stanu dopiero wtedy kiedy już dzięki wolności prassy, dano im ogromny rozgłos.

Urodzony w 1807 roku, dożył późnego wieku lat 83. Uczony wielce prawnik i człowiek szeroko wykształcony, Grévy lubił książki i chętnie się chlubił z posiadania pięknych, drogich i ciekawych edycji, starych i późniejszych klasyków; wielki bazarz La Fontaine, był jego literackim bożyszczem. Ale co lubił nadewszystko, to swe wnuczeta, dla nich-to zbudował swój pałacyk przy ulicy Jena ich pokoje i ich sypialnia były tuż obok pokoju dziadka. Największą jego rozkoszą były ranne spacerki z dziećmi; gdy go szkalowano i natrzęsano się z niego, całując je zapominał o wszystkim.

Pochowano go w grobie rodzinnym na ustroniu w grobie, który sam sobie przygotował w Mont-Sous-Vaudrey. Pogrzeb był wspaniały, tem wspanialszy, że się odbył w zaciszu wiejskim wśród ludu wiejskiego, który się zbiegł tłumnie z całej okolicy. Ministrowie, wojsko, kler liczny z biskupem ks. Marpot na czele, kondukt zawalony wieńcami i kwiatami, — wszystko to stanowiło widok głębiej wzruszający, niż urzędowa reprezentacja paryżka.

Pokój mu, pokój, którego nie doznał w pełni za życia. W ostatniej chwili powiadają, że successya którą zmarły prezydent zostawia swym dzieciom i wnukom, przechodzi pięć milionów franków.

Zwłoki złożono do grobu w poniedziałek dnia 14 Września.

Wielka odległość miejsca gdzie umarł i gdzie pochowany został p. Grévy, i zapomnienie w jakim była pamięć jego, od czasu opuszczenia najwyższej władzy, tłómaczą dostatecznie, dlaczego ta śmierć byłego prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej tak słaby miała rozgłos w Paryżu i w całej Francji? Paryżanie zresztą mieli inne przedmioty podziwu i myślenia, aby dostateczną poświęcić uwagę umierającemu jakby na wygnaniu Grévy'emu. Wszak w tejsamej chwili odbywały się wielkie owe manewra na wschodniej granicy państwa, niby epilog podróży na Bałtyk, i niemniej też zajmująca wyprawa bcyklistów z Paryża do Brześcia Francuzkiego (Brest).

Tegoroczne manewra miały rzeczywiście wielką doniosłość, jako pierwsza próba wielkiej mobilizacji wojska, od czasu ciężkiego roku 1870-go i 1871-go, próba oddania ogromnej armii 150 tysięcy ludzi w ręce takich jenerałów jak: Sausier, Miribel, Gallifet, Davout i t. d. Próba ta, miała pokazać, czy ten zraniony człowiek o którym mówił p. Thiers, że w roku 1873 ledwie się mógł utrzymać na nogach, zdolny jest dziś dawną pokazać siłę, i w pełnym ozdrowieniu stanąć do boju?

Była to więc chwila niezmiernej wagi; widowisko jakie się gotowało, miało potężnie poruszyć umysł całego narodu; miał on oglądać, na Polach Szampanii całą Francją zjednoczoną w jednym i tym samym porwy, powszechnym okrzykiem witającą rozwinięty znowu swój sztandar, i jakby zmartwychwstającą w wojennej swej sile.

Od lat dwudziestu Francja była jakby w żalobie, niepokieszona po odniesionej bolesnej klęsce, jakgdyby wszystko było zniszczone i skończone z upadkiem orłów Cesarstwa.

Chociaż manewra wojskowe uważane są zwykle jako obraz wojny, podobieństwo to jest przecież tak słabe, że trzeba wielkiej naiwności widza, aby wyobraził sobie z tego na co patrzy przez lornetę, że to jest prawdziwa i ścisła podobizna wojny. Przypomina to co powiedział jeden z tegich generałów, gdy na radzie roztrząsano wyniki świeżo odbytych manewrów (nie we Francji *nota bene*). Prezydujący temu zgromadzeniu uzalał się, że żołnierze w ogólności nie są ożywieni dostatecznie duchem wojennym, i zapytywał o sposób nadania im większej duchowej tęgości. — Jest jeden tylko na to środek — odezwał się ów generał — co dziesiątego żołnierza w szeregu zaopatrzyć w ostre ładunki! Przyjęto te słowa jako wyskok dowcipu, ale jest to wielka prawda: chcąc zagrać do boju, trzeba postawić wobec groźnego niebezpieczeństwa.

Zostawiając więc na stronie te kwestye: czy manewra wojskowe są lub nie obrazem wojny; czy do niej przysposabiają tak wodzów, jak żołnierzy? powiedzmy, że wielkie manewra armii francuzkiej na wschodnich granicach państwa, powiodły się doskonale, jako spełnienie naprzód nakreślonego programu.

Ale co było ich najważniejszym wypadkiem, to pokazanie dowodne, że wszystkie pomocnicze środki wojny jako to: transport wojska na kolejach żelaznych, urządzenie i działanie szpitali polnych, zaopatrzenie żołnierza w amunicyę i żywność — nie zostawiały nic do życzenia prawie, i dowiodły, iż w tych rozmaitych gałęziach służby intendenty, niezmierny dokonał się postęp od lat dwudziestu, a to jest właśnie punkt najważniejszy, który skonstatować musiano w tegorocznych manewrach.

Drugim, niemniej ważnym, punktem było doświadczenie, w jakim stanie znajduje się sprawa mobilizacji tak licznego wojska; w jakim przeciągu czasu i z jaką dokładnością da się uskutecznić? Otóż zdaniem najlepszych znawców i według otrzymanych rezultatów, pokazało się, że mobilizacja i koncentracja tych mas ogromnych, nie zostawiła nic do życzenia. Odbyta próba wlewa przekonanie, że w dzisiejszym stanie rzeczy, gdyby nawet przyszło do pospolitego ruszenia, można być pewnym najlepszego skutku. Ponieważ zaś osobisty charakter Francuzów daje rękojmię zupełną co do przymiotów wojskowych żołnierza, a więc wypadek zdaje się niewątpliwie pomysłnym. Taka jest *speranda*.

Cwiczenia wojskowe zakończyły się solennym przeglądem armii, po raz pierwszy od lat 20-stu przez Prezydenta Rzeczypospolitej, i rozdaniem nagród. Skorzystano z tej okoliczności, aby gorącym słowem przemówić do narodu stojącego pod bronią, i uczyniono to, przyznać należy, z wielką wstrzeźliwością, co jest niemal tu rzeczą, i z wielkim umiarkowaniem wyrażen. Przemówienia te zresztą ograniczyły się do kilku najwyższej stojących osobistości. Przemawiali mianowicie: p. Carnot, prezydent Rzeczypospolitej, Freycinet, minister wojny, Saussier, kommandujący naczelnie wojskiem, i generał Gallifet, dowódzca stały jednego z korpusów, a podczas manewrów — dwóch korpusów.

Manewra dały więc najpierwszy i dość ważny powód do zapomnienia o zmarłym na dalekiej prowincji prezydencie Grévy'm, ale dla lekkich zawsze Paryżanów znalazły się inne jeszcze powody. Drugim z porządku była wyprawa welo-cypedystów z Paryża do Brest, bagatelka! 600 prawie kilometrów, albo, ściśle biorąc 1.185 kilometrów, bo tam i na powrót.

Promotorem, stającym na czele wyprawy, była redakcja *Petit Journal*, któremu należała się zasługa urządzenia tych nowych wyścigów, z powodu zachęty jaką ten dziennik dawał oddawna bcyklistom, i z powodu swego ogromnego rozpow szechnienia po całej Francji.

Na wezwanie dziennika odpowiedziało czterystu bcyklistów, gotowych do wyprawy. W Niedzielę dnia 6 Września o godzinie 6 zrana wyruszyła tu istna armia bcyklistów z przed domu

stanowiącego własność *Petit Journal'a*. Wyścigowców podzielono na sekcje po 20 bicyklistów w cztery rzędy po pięciu, pod wodzą członka dyrekcyi głównej. Był to nader ciekawy widok; po raz pierwszy można było oglądać ten istny rój kolojeźdźców. Pomimo natłoku manewra na placu odbyły się w wielkim porządku. Licznie zebrana publiczność oklaskiwała współzawodników.

Powrót oznaczono na d. 10 Września. Depesze ogłaszane codziennie w *Petit Journal* zdawały sprawę regularnie z wypadków i postępow podróży. Dnia 9 Września wieczorem ogromne tłumy ciekawych gapiły się przed teatrem Rozmaitości, a szczególnie przed transparentami *Petit Journal'a* ogłaszającymi ostatnie wypadki tej dziwnej walki. Około godziny 10 wieczorem ostatni afisz zapowiedział: „Prawdopodobne przybycie do Paryża p. Torronta, (zwycięzca) pomiędzy trzecią a czwartą godziną zrana“.

O godzinie 11 nakoniec:

„Trochę cierpliwości. Niema nic nowego“.

(Dokończenie nastąpi).

Przez Alpy.

(Dalszy ciąg).

Im odleglejsze, ciaśniejsze kanały, tem większy nieporządek, ubóstwo i zaniedbanie. Ludzie nawet, zwłaszcza kobiety, rzadkiedy czysto ubrane, najczęściej w lachmanach, rozczochrane siedzą beczynnie przed domami, wygrzewają się na słońcu albo pieszczą się z dziećmi. Przewoźnik nasz z dumą zwrócił naszą uwagę na swoją czystą bieliznę, dodając, iż jego żona nie pozwoliłaby mu nigdy pokazać się inaczej na gondoli.

Woda kanałów ciemna, zanieczyszczona odpływem wszelkiego rodzaju ścieków, w wielu miejscach odraża nieprzyjemną wonią. A jednak w takim właśnie błocie jakaś matka kąpała przy nas troje dzieci; jedno po drugim rzucała do wody, przywiązawszy poprzednio na pasie, a ciemnowłose amorki, wesoło pluskały się w brudnej fali.

Na zwiedzeniu kościoła św. Jana i Pawła zakończyliśmy dzisiejszą wycieczkę. Tu znajdują się groby dożów; naliczyliśmy 16 pomników ze sławnymi imionami Mocenigo, Vendramin i wielu innych; niektóre sięgają do sklepienia i stanowią prawdziwe arcydzieła sztuki.

W kaplicy Róż, zniszczonej przez ogień w r. 1867, spłonął także wielki obraz Tycyana: „Męczeństwo św. Piotra“, znajdujący się w wielkim ołtarzu, i zaliczony przez znawców do najdoskońszszych dzieł wielkiego mistrza.

Przedtem jeszcze oglądaliśmy kościół Zbawiciela (San Salvatore), posiadający jedno z większych arcydzieł Jana Belliniego: „Chrystus za stołem“, i trzy prześliczne Madonny, pędzla jego młodszego brata Giorgio.

Nazajutrz udaliśmy się do Akademii Sztuk Pięknych, położonej w pobliżu Wielkiego Kanału i kościoła Maryi della Salute. Jak dyamenty w koronie królewskiego miasta, tak imiona mistrzów jaśnieją w tej prawdziwej świątyni sztuki. Zaczawszy od Jana Bellini († 1516) Wenecya wznosi się szybko pod względem sławy swej szkoły malarzkiej, i zajaśniałszy imionami Giorgione'go starszego Palmy, Pordenona, Tintoretta i Veroneza, w osobie Tycyana staje u szczytu doskonałości. Świetność i bogactwo kolorytu, nieporównana miękkość wykonania, oraz powaga i spokój, cechują wszystkie jego prace. I nie wiadomo co podziwiać w nich więcej: czy niedoścignioną, olśniewającą prawie rozmaitość barw i odcieni, jakby wykradzionych naturze, czy cudowną grę światła i cieni, czy charakterystyczne postacie weneckich dam isenatorów, czy czar, jakim owiać potrafił widoki rodzinnego miasta?

Do najpiękniejszych obrazów na wystawie należą: „Wniebowzięcie“ Tycyana i tegoż artysty

„Najświętsza Panna w świątyni“, Tintoretta „Cud św. Marka“ i Pawła Veronesa: „Chrystus w domu celnika“. Arcydzieła mistrzów starożytnych zapełniają sal siedmnaście.

Dzień zakończyliśmy przejażdżką po Wielkim Kanałe podczas jasnej księżycowej nocy. Cudnie wygląda marmurowe miasto w tem fantastycznym oświetleniu: widok czarodziejski i rozmarzający. Żadnego gwaru, turkotu, hałasu: cisza uroczysta, tęskna, wśród której niekiedy tylko rozlega się dźwięk mandoliny lub głos ludowego śpiewaka. Tęskniący skarżące się, smutne płyną daleko w spokojnym, wilgotnym powietrzu, cichną stopniowo i milkną gdzieś w dali, bez echa i przebudzenia.

Dnia następnego zwiedziliśmy arsenał, gdzie obok składu broni znajduje się warsztat okrętów starożytnej republiki. Cztery wspaniałe lwy marmurowe strzegą wejścia; wewnątrz starożytne broje, oręż i modele okrętów. Pomiędzy innymi przechowuje się tutaj pełne uzbrojenie Henryka IV i sztandar turecki, zdobyty w morskiej bitwie pod Lepanto.

Wieczorem byliśmy w letnim teatrze na Lido, gdzie dawano: „Karnawał wenecki“. Mimo 30 stopni Réamura, bawiliśmy się dobrze; śpiew bardzo piękny, gra artystów bez zarzutu, dziwiło nas tylko zachowanie się miejscowej publiczności, która rozmawiała głośno i widocznie więcej sobą była zajęta, niż przedstawieniem na scenie.

W ostatnich dniach zwiedziliśmy jeszcze targ rybny i owocowy. Ten ostatni zwłaszcza sprawia przyjemne wrażenie: najpiękniejsze winogrona, melony, figi, granaty, całe masy dyni, ogórków i różnorodnych jarzyn tworzą prawdziwe piramidy. Na rybnym rynku zapach nie miły, lecz warto widzieć to bogactwo form i kształtów, zacząwszy od najdrobniejszych, ślicznych, mieniących się rybek, aż do prawdziwych potworów morskich, a obok tego kraby, raki, krewetki, polipy i tysiące innych jadalnych dziwotworów, nieznanym mieszkańcom stałego lądu.

Merceria stanowi jedyną ulicę Wenecyi, na której znajdujemy bogate i piękne sklepy, głównie przedmiotów zbytku, galanteryi i wyrobów czysto weneckich. Tu kupuje się drogie gipiury, wyrabiane w zakładzie, zostającym pod opieką królowej Małgorzaty. Wyroby szklane i sławne weneckie paciorki, zachwycić muszą cudzoziemca; pochodzą one z wielkich fabryk miejscowych lub pobliskiego miasteczka Murano. Piękne też są niezmiernie galanterye srebrne, cenne mozaiki, artystyczne grupy i t. p. drobiazgi.

Gondolier nasz z dumą wskazuje najpiękniejsze sklepy i zwraca uwagę na towary, pochodzące z miejscowych fabryk. Wysiadamy, ażeby obejrzeć je zblizka. Właściciele składów zapraszają wymownie, z przyjemnością przebiegamy obszerne sale zapełnione wszelkiego rodzaju towarami, łożonymi oryginalnie i z pewnym artystycznym gustem. W końcu kupuje się parę drobnostek po cenach istotnie bardzo niskich, ale w każdym sklepie bez wyjątku należy się targować, jak na jarmarku w kramiku. Sprzedający nie waha się cenić podwójnie, a biorąc połowę tego, co zażądał, jeszcze zarabia dobrze. W obejściu kupcy weneccy są nadzwyczaj grzeczni i uprzejmi, ale nie opuszczają żadnej sposobności skorzystania na cudzoziemcu.

Z żalem żegnamy Wenecyę, w dalszą udając się drogę. Teraz celem naszym Tryest. Sama podróż nie przedstawia wielu ciekawych szczegółów gdyż okolica uboga w widoki i piękności natury. Jedziemy na Treviso, Görz i Monfalcone.

W niewielkiej odległości od brzegów Adryatyku, ze stromej pochyłości Karstu wytryskują trzy strumienie, które łącząc się, tworzą Tymawę, wpadającą po krótkim biegu do pobliskiego morza. Starożytne imię tej rzeki jest już w mytach greckich: tędy—według podania—grecki bohater Jazon powracając ze sławnej wyprawy Argonautów, dostał się znowu na morze.

Starożytne kroniki twierdzą, iż rzeka ta jeszcze w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej była połączeniem siedmiu olbrzymich strumieni i stanowiła wspaniałe zjawisko. Być może, iż zawdzięczała ona swoją wielkość rzeczce Isonzo, która przepływając pod Görz, wielkie jezioro z wla-

snych wód utworzone, podziemnymi kanałami wpadała do Tymawy.

Dzisiaj jest to duży, sławny strumień, o kwadrans drogi od brzegu odległy. Zawód ten jednak w zupełności wynagrodziło nam zwiedzenie starożytnego zamku Duino, wzniesionego tutaj jeszcze za czasów rzymskich. W Wiekach Średnich należał on do Hohenstaufów, i służył z świetności i wystawnego urządzenia; obecnie jest w posiadaniu księżny Teresy von Hohenlohe-Oehringen wdowy i wielkiej miłośniczki sztuk pięknych. Pani ta bardzo uprzejmie zezwała turystom na zwiedzanie swej wspaniałej siedziby, zawierającej cenne pamiątki i skarby.

Z wieżowych szczytów tej morskiej strażnicy rozległy widok sięga aż do Akwilei, pozwalając widzieć w perspektywie wysokie dzwonnice jej kościołów. Krajobraz zamykają nadbrzeżne wzgórza Istrii i Illiryi. U nóg morza ciemno-błękitne a dalej, po przeciwnej stronie zatoki laguny aż do Grado, okolica pusta, monotonna i niezdrówka. Febry i gorączki panują tu bezustannie i niebezpiecznymi bywają zwłaszcza dla przybyszów.

Obejrawszy bogatą galerię zamkową, odjechaliliśmy naszym „vetturino“ do Nabreziny, głównej stacyi austriackiej drogi Tryest-Udine.

Czas pozostający do odejścia pociągu poświęciliśmy obejrzeniu Karstu. Wyżyna to naga, stroma, zimna i pępna. Olbrzymie ciemne skały piętrzą się jedne na drugie, lecz nigdzie lasu, świeżej zieloności, śladu pastwiska, lub jasnego, malowniczego obrazu. Żaden dźwięk nie przerywa jednostajnej ciszy, nie słychać śpiewu ani nawoływania górali, dzwonek ani kołatek pasących się trzód. Tylko z głębi tych mas skalistych dochodzi czasem głos głuchy, jakby staczających się kamieni.

Powierzchnia gór szara, pokryta rozpadlinami, przypomina olbrzymią gąbkę, pełną otworów, przepaści i ukrytych kanałów, w których tają się wody podziemne. Organicznego życia ślady tu bardzo ubogie; gdzieniegdzie nędzna trawka, karłowate krzewy, a zresztą pustka martwa i milcząca. Ludzi nie spotykamy wcale, kamienna chata z głazów ułożona z mchem utkane mi szparami stanowi rzadkie zjawisko.

W pobliżu stacyi leżą, tak zwane doliny, t. j. mniej więcej okrągłe wgłębienia, otoczone ścianami około 100 metrów wysokimi. W takich dolinach koncentruje się życie, pokrywa je bowiem warstwa urodzajnego gruntu, który uboga ludność uprawia starannie. Kontrast, jaki stanowi bujna vegetacja dolin z otaczającymi nagimi skałami, sprawia nadzwyczaj efektowne wrażenie.

Od Nabreziny droga zwraca się znowu ku morzu. Zwierciadło Adryatyku rozciąga się przed naszym wzrokiem, jasne, błyszczące, pogodne; nisko pod nami widać zatokę Tryestu. Znacznym spadkiem droga zbliża się do brzegu, miasto coraz wyraźniej rozwija się przed naszym wzrokiem, widać pałac Miramar ze sławnymi tarasami, i nagle wjeżdżamy na obszerny dworzec.

Starożytne to miasto, pamiętające panowanie Rzymu, stanowi dziś port austriacki, najobszerniejszy i pierwszy pod względem handlowego obrotu. 1.600 parowców i 7.000 okrętów żaglowych zatrzymuje się tu corocznie! Tak ożywiony handel wpływa dobroczynnie na zamożność i powszechny dobrobyt mieszkańców. Ubogi pod względem sztuki i cennych zabytków przeszłości, Tryest posiada skarby nowoczesne: złoto i płody naszych fabryk i przemysłu.

Najbogatszą dzielnicą jest bulwar portowy i wybrzeża wielkiego kanału, wrzynającego się głęboko w środek miasta.

Wybrawszy piękny, pogodny dzień letni, popłynęliśmy kanałem. Widok na miasto ztąd zachwycający: okala ono zatokę amfiteatralnie, jedne nad drugie piętrzą się białe budynki, oparte na tle ciemnym pępnej Karstu. Z tego punktu widzenia wszystko to łączy się w całość harmonijną i pełną wdzięku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kronika działalności kobiecej.

— Przy Instytucie Lekarskim dla kobiet w Petersburgu urządzonym będzie internat dla słuchaczek przybywających z prowincyi; koszta pokrywane być mają z ofiar, na ten cel składanych, oraz z dochodu wpisowego. Te ze słuchaczek, które ukończą zadawalniająco całkowity kurs wykładów, otrzymają dyplom, dający im prawo leczenia chorób kobiecych w całym państwie, oraz zajmowania w każdej bez wyjątku miejscowości państwa posad, specjalnych w tym kresie leczenia, wszakże bez przywilejów, jakie daje służba rządowa. Dalej przysługiwać im będzie prawo, udzielane przez inspekcje lekarskie, tak zarządzania ziemskimi okręgami lekarskimi, jak i szpitalami wiejskimi i wszelkiego rodzaju zakładami leczniczymi, znajdującymi się w tych okręgach.

— Warszawska Rada Miejska Dobroczyńności Publicznej przyjęła zapis hr. Raczyńskiej dla Biura Nędzy wyjątkowej, w postaci rocznego dochodu rs. 1.000.

— Przytułek dla biednych dziewcząt przy ulicy Cichej, wzniesiony i utrzymywany dobroczynnym kosztem zacnej panny Bronisławy Sobolewskiej, otwartym został w d. 11 b. m. W chwili otwarcia Przytułek przygarnął 10 dziewcząt, sierot zupełnych bez ojca i matki. Opiekunkami zakładu są p. p. Micewiczowa Józefa, Morykoniówna Teresa, Perkowska Wanda, Sztumerowa Karolina; opiekunem jest p. Jan Micewicz. Obrzędu poświęcenia zakładu dopełnił ksiądz Brzeziewicz w obecności prezesa Tow. Dobroczyńności, księcia Tad. Lubomirskiego, i całego grona zarządu; lokal zakładu składa się z trzech pokoi, mieszczących się na 1-em piętrze, w miejscu bardzo spokojnem i odpowiednio wybranem.

— P. P. Knapczyńska i Wojczyńska pragną założyć w mieście naszym szkołę bon, to jest tych pomocniczek wychowania dzieci, które srodkują między piastunką a nauczycielką. Szkoła ma mieć kurs dwuletni; kandydatki potrzebują posiadać naukę elementarną, ze świadectwem nauczycielki niższej. W planie wykładów szkoły mieści się nauka metody freblowskiej. Jak szkoła taka może być pożyteczną, dowodzić nie potrzeba, usunie bowiem te legiony cudzoziemek: Niemek, Francuzek, których teraz przebywa u nas tysiące, więc przyniesie w skutkach swoich korzyść bardzo ważną pod względem edukacyjnym wychowania, bo nauka języka obcego w wieku tak wczesnym jest niedobłą — jest szkodliwą ze względu na rozwój umysłu dziecka, który obciąża przez naukę dwóch języków naraz, bo i swego uczy się dziecko wtedy, uczy się więc dwa razy tyle, ile wedle planu natury pamięć jego objąć powinna w tym kierunku, ze szkoda dla wyrabiającego się zmysłu uwagi i kielkującego już rozumu. Nikt bez ujmy jakiejś dla organizmu nie dźwiga na raz dwóch ciężarów i co się tu zyska z jednej strony, musi się utracić z drugiej — a jak bardzo, bardzo ważnej, bo zostającej w ścisłym związku z inteligencją kształcącej się w dziecku człowieka.

— Podręcznik do użytku matek i wychowawczyń „Gimnastyka dla dzieci od lat 4—do 9-ciu“

napisała i ogłosiła drukiem p. Marya Weryho. Ryciny objaśniają wskazane w książce ćwiczenia gimnastyczne.

— P. Karolina Jasińska wystawiła w salonie artystycznym Krywulta gobelin, na którym wykonana jest scena mitologiczna: „Amor ukarany“.

— Mieszkająca w Paryżu Marya z Golejewskich Czarkowska, która już zapisała bardzo znaczne summy na cele dobra publicznego, złożyła 20.000 zł. reń. na kupno domu we Lwowie, w którym mieścić-by się mógł internat dla najbardziej potrzebujących pomocy i opieki kandydatek żeńskiego seminaryum nauczycielek.

— Towarzystwo oszczędności kobiet w Krakowie zawiązało się w Marcu b. r. przeważnie za staraniem pań: Czerwińskiej z Buszczyńskich, Longchamps Wandy, Wankowiczowej Janiny. Od Marca do połowy Czerwca, to jest po czas ostatniego sprawozdania z działań Towarzystwa, zebrało ono i wykazało w kassie swojej dwieście kilkadziesiąt zł. reń. Składka roczna stowarzyszonych jest 1 zł. reń. Towarzystwo ustanowiło składkę roczną niewielką w zamiarze pozyskania możliwie największej liczby członków. Celem jego jest zebranie kapitału, od którego odsetki, rozdzielane między ubogie kobiety, stawały by się środkiem zapewnienia im pracy chlebobdajnej.

— Grono kobiet, zamieszkujących Galicyą Wschodnią, wydało odezwę do wszystkich mieszkanków tej części kraju, aby podniosły głos, żądający praw społecznych równouprawnienia ich z mężczyzną. Pragną one dopuszczenia do źródeł nauki wyższej: do szkół w zakresie gimnazjalnym i do wykładów uniwersyteckich.

— Lekarskie czasopisma w Szwajcaryi ogłosiły, że kobiety lekarze mogą się starać w Bośni i Hercegowinie o posady rządowe w szpitalach, a to ze względu na mahometanki, którym przepisy Koranu nie pozwalają szukać porady u lekarza mężczyzny. Płaca roczna tych lekarek wynosić będzie 1.400 zł. reń. Dodano obok tego, że przy rozstrzygnięciu konkursu pierwszeństwo będzie przysługiwało kobietom narodowości słowiańskich, którym łatwiej będzie, niżeli kobietom innych szczepów porozumieć się z pacjentkami, a następnie wyuczyć się ich mowy.

— Angielka, miss Anna Oppenheim, otrzymała dyplom „honoris causa“ od Brytańskiego Towarzystwa Frenologicznego, za naukowe prace w zakresie anatomii mózgu i w ogóle frenologii.

— Na kongresie niemieckich przyrodników i lekarzy w Halli było obecnych 280 kobiet.

— W angielskiej Szkole Głównej dla kobiet: „Girton College“ uczyno się od jej założenia, to jest od 1869 r., 400 studentek regularnych. Z tej liczby 231 ukończyło nauki z honorami akademickimi.

— Młoda Rumunka, Sarmisa Bilcesco, otrzymała w roku zeszłym na wydziale prawnym uniwersytetu paryskiego stopień doktora prawa. W siedemnastym roku życia już ze stopniem „Bachelière des lettres et des Sciences“, przyznany jej przez Sorbonę, oddała się na uniwersytecie studjom prawnym i po sześciu latach bardzo gorliwej nauki została przypuszczoną do doktoryzacji a rozprawa jej, której broniła: „prawne stanowisko matki w prawie rzymskim i francuzkiem“ zyskała uznanie ciała egzaminacyjnego ze stopniem: „maxima cum laude“. Obecnie ma ona lat dwadzieścia cztery; wysoka, kształtna, niepospolitej urody szatynka z dużemi czarnemi oczyma, przedstawia organizm zdrowy i silny, bynajmniej niezmeńczony przebytą pracą nauko-

wą. A należy dodać, że nie zamknęła się w niej wyłącznie i z zamilowaniem oddaje się muzyce, za którą otrzymała w roku odjazdu swego z Bukaresztu pierwszą nagrodę gry na fortepianie. W Paryżu nie przebywała też samotna, oderwana od rodziny i wystawiona na wiele niebezpieczeństw niedoświadczenia młodości, zostawionej samej sobie; przybyła tam z rodziną i matka towarzyszyła jej zawsze na wszystkie wykłady, dodać zaś należy szczegół charakterystyczny, że przez cały czas tej nauki raz tylko opuściła jedną lekcję. Przy examinach na stopień liceucyantki otrzymała wszystkie gałki białe; w 1886 Szkoła Prawa przyznała jej pierwszą nagrodę na konkursie z prawa rzymskiego. Przy examinach ostatecznych na stopień licencyatki (w 1887 r.) otrzymała miejsce najpierwsze, posiadała bowiem gałek białych siedemnaście na osiemnastu. Stopień naukowy, jaki jej to dawało, otwierał jej już przystęp do advokatury, którą postanowiła uczynić zawodem życia swego, ale zamilowanie nauki i duma szlachetna popchnęły ją dalej. Chciała otrzymać doktorat i po dwóch latach studiów uniwersyteckich w 1889 i 1890 r., dosięgła celu, znowu ze stopniem „cum laude“.

Tu spotkała się z drobnostką, która jednak była przykrością. Jest zwyczajem, tak uniwersytetu paryzkiego, jak i innych, że do dysputy na doktoryzacyą trzeba stanąć przed senatem uniwersyteckim w todzie. Tak jest i we Włoszech, tak jest w Belgii i uczył ona Włoszka, Lidya Poet, nie została w skutek tego dopuszczoną w 1883 r. do rozprawy na doktoryzacyą na zasadzie, że nie jest to odzież niewieścia — że ubrana w nią kobieta przedstawiałaaby postać śmieszłą, więc ubliżającą godności rzeczy i miejsca, gdyby towarzyszyła jakiemuś nowomodnemu ubraniu głowy. Nie została podobnie dopuszczoną w Brukseli do doktoryzacji Marya Popelin, jak z kolei odmówiono jej przystępu do ciała obrończego. Ale w Paryżu podniosły się żywo głosy, czytające stare łacińskie zdanie, że „suknia nie stanowi człowieka“ i Saramisa Bilcesco ubrana w zwykłą, długą suknię z czarnego atlasu, w czarnym dużym kapeluszu z czarnem piórem, przedstawiła się bardzo poważnie i szlachetnie przy swojej rzadkiej piękności. W konkluzji bronionej tezy dodała, że „należy społeczeństwu baczyć, aby kobieta nie wdierała się w atrybuty mężczyzny, ale jako istota wolna i rozumna spełniała obok niego, jako równa mu, zadanie życia swego. Najważniejszem z jej obowiązków jest niewątpliwie wychowywać dziecko, skoro matka zostanie, ale tu należy jej się władza zupełnie równa ojcowskiej“.

Rumunia dopuściła następnie uczoną pannę do ciała adwokackiego w Bukaresztcie, z czego przecież będzie ona korzystać w sposób poniekąd ograniczony, stawając przed kratkami sądowemi tylko w sprawach ogólnego interesu, lub ludzi ubogich, nie mogących ponosić kosztów obrony płatnej, bo jest ona bardzo bogata i nie miała nigdy zamiaru czynić sobie z zawodu adwokackiego sposobu do życia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 3-ci tomu II powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa, przez Felicją Węclewską. — Wychowanie, przez M. I. (dokończenie). — Przeklęty ród, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Ruch muzyczny, przez Juljusza Stattlera. — Nowiny Paryzkie. — Przez Alpy (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci tomu II powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Serwetka.

Rycina Nr 21, 15 i 19 w Bluszczu Nr 42 (roboty siatkowa i ściąg płaski).

Wykonać niemi średniej grubości na waleczku 2 c. średnicy tło siatkowe 60 cent. wielkości, przewlec takowe podług ryc. (oprócz środkowego kwadratu 25 cent. wielkości) Nr 21 sposobem krzyżowym złotą nitką, tło pajęczkami z nici. Narożnik przedstawia ryc. Nr 19, wykonać ściąg cerowanym „point de toile“ takąż nitką. Długi ściąg wykonać jedwabiem niebieskim, piaskowym, oliwkowym i poziomkowym. Otoczyć figury ściągami gałzkowym złotą nitką. Pojedyncze krzyżyki złotą nitką i otoczyć część haftowaną ściągami długim jedwabiem ciemnoniebieskim, piaskowym, oliwkowym i poziomkowym. Brzeg zewnętrzny wyciąć w zęby i wykonać ściąg dziergany niemi. Środkową część należy wyciąć i zastąpić kwadratem na tkaninie kanwowej koloru żółtawego i deseń wykonać niebieskim jedwabiem ściągami kordonkowym. Rycina Nr 15 przedstawia deseń na kwadrat środkowy. Figury gwiazdkowe wykonać bajorkiem złotym.

Suknia z materiału wełnianego w deseń ozdobiona barankiem.

Rycina Nr 3 i 7.

Suknia z materiału wełnianego włochatego koloru ciemno-niebieskiego w deseń czarny; złożona z spódnicy, bez spódnicy z podszewką ale cała podszyta, i z kaftanika z połami długimi rozcinanymi. Napierśnik z sukna niebieskiego. Zapinana jest na klapki i małe pasmanteryjne guziczki. Rękawy bufiaste, przybrane odpowiednio klapkami i guziczkami. Obszycie z baranka wykończy całość.

Czepeczek strojny dla starszej osoby.

Rycina Nr 8.

Wykonać karczek z petynетки 23 cent. dług. nieco spiczasty, po bokach ścięty, otoczyć drucikiem i wstążeczką jedwabną koloru białego. Przybranie stanowi barba koronkowa 1 c. szerok. a 110 centim. dług., którą ułożyć w 6 pukli i dwa końce. Gałzki bzu koloru lila umieścić puklami jak wskazuje ryc.

Kapelusz z sukna.

Rycina Nr 10.

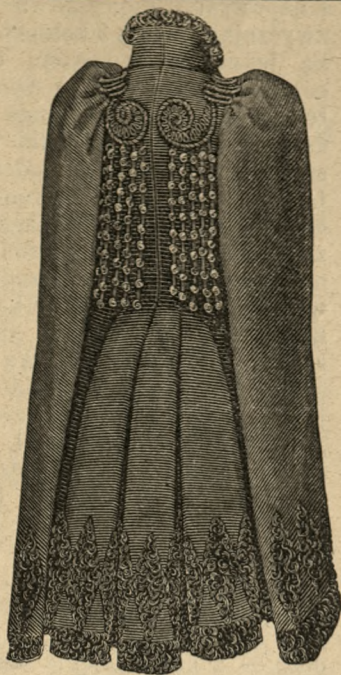
Kapelusz sukna koloru piaskowego podszyty aksamitem czarnym. Haft z pereł czarnych. Egreta z piór niebieskich i kokarda z wstążki aksamitnej tegoż koloru na środku z przodu. Czarne aksamitne wstążki do wiązania.



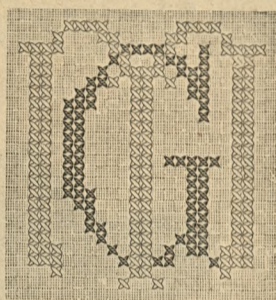
Nr 4. Suknia z bengaliny i koronki haftowana dżetem (do ryc. Nr 5).



Nr 5. Tylna część sukni



Nr 1. Tylna część okrycia Nr 6.



Nr 2. Monogram.

Kapelusz z aksamitu.

Rycina Nr 11.

Kapelusz z aksamitu koloru „bordeau“ przybrany czarnymi pererkami. Koronka czarna i strusie pióra wykończają całość podług ryc.

Kapelusz z filcu.

Rycina Nr 12.

Kapelusz z filcu koloru czarnego, przybrany skrzydelkami czarnymi oraz wstążką w połowie koloru lila w połowie żółtą w pa-sy ciemniejsze.

Czepeczek dla starszej osoby.

Rycina Nr 14.

Forma z petynетки 32 centim. dług. nieco z przodu spiczasta a po bokach ścięta. Otoczyć drucikiem i wstążeczką koloru żółtego. Przybranie stanowi koronka biała 10 centim. szer. oraz wstążka żółta repsowa 1 i 3 cent. szer.



Nr 3. Tylna część sukni Nr 7.



Nr 6. Okrycie z szewjotu z odpasowanym szlakiem (do ryc. Nr 1). Krój odwr. str. tabl.

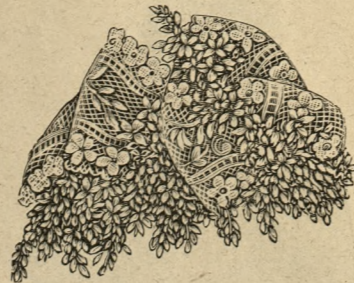
Nr 7. Suknia z materiału wełnianego obszyta barankiem (do ryc. Nr 3).

Kapturek dla rocznego dziecka (robota drutowa i szydełkowa).

Rycina Nr 19. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 63 i 64).

Kapturek wykonany cienką włóczką koloru białego i tegoż koloru włóczką przerabianą jedwabiem białym. Przewleczony białą jedwabną wstążką 2½ centim. szerok., także kokardy i szarfki do wiązania. Zaopatrzony podszewką wykonaną na drutach. Rozpocząć od dolnego brzegu karczka podług fig. 63 na założeniu odpowiedniej liczby oczek. (Wzór rozpoczęty na założeniu 44 oczek), na których tam i napowrót wykonywać jak następuje: 1 kolej: * 1 oczko zwyczajne, 3 oczka przerobić a mianowicie: 1 ocz. zwycz., 1 ocz. odwr., 1 ocz. zwycz., od * powtórzyć. — 2 kolej: zwyczajnie. — 3 kolej: (prawa strona roboty) ciągle naprzemian: 1 ocz. zwycz., 3 ocz. odwr. razem przerobić. Włóczką jedwabną 4 kolej: odwrotnie. — 5 kolej do 7: zebrane ocz. na dr. tak przerob., ażeby po prawej stronie wyglądały jakby po lewej: — 8 kolej: zwyczajną włóczką odwrotnie. Powtarzać ciągle 1 do 8 kolei, ale stosownie do formy przybierać lub ujmować ocz. Główkę rozpocząć od dolnego brzegu podług formy fig. 64. Wzór rozpoczęty na założeniu 32 ocz. wykonywać tym samym ścięciem co karczek. Falbankę rozpocząć od górnego brzegu włóczką zwy-

czajną na założeniu 50 ocz. tam i napowrót. Pierwsze 9 kolei zwyczajnie, potem 3 kolejewłóczką jedwabną w sposób, ażeby ocz. na prawej stronie wydawały się odwrotne, następnie włóczką zwyczajną 14 kolei zwyczajnie, poczem ocz. odczepić. Ostatnie 13 kolei wykonać po odwr. str., przerobić razem ocz. założenia z ocz. odczepionemi i otoczyć falbanką w przednim i w dolnym brzegu koronką, na które wykonać 5 kolei szydełkiem naprzemian włóczką zwyczajną i jedwabną jak następuje: — 1 kolej: ciągle naprzemian: 2 słupki przedzielone 1 pow. ocz. w następny rząd oczek, 1 pow. ocz., 2 ocz. opuścić. Po rogach należy robić luźno, ażeby robota nie gurbiła się. — 2 kolej: ciągle naprzemian: 2 słup. przedzielone 1 pow. ocz. w ocz. pow. pomiędzy 2 słup., 1 pow. ocz. — 3 kolej: ciągle naprzemian: 3 słup. w ocz. pow. pomiędzy 2 słup., 1 pow. ocz. — 4 kolej: * 3 słup. w ocz. środkowe następn. 3 słup., 1 pow. ocz., 1



Nr 8. Strojny czepek dla starszej osoby.



Nr 9. Tylna część stanika Nr 17.



Nr 10. Kapelusz z sukna.



Nr 14. Czepek dla starszej osoby.



Nr 13. Spódnica do sukni Nr 17. (Kr. odwr. str. tabl.).

Nr 11. Kapelusz z aksamitu.

Nr 12. Czapka.

ściśle ocz. w następne pow. ocz., 1 pow. ocz., w stosownie do formy ujmować albo przybierać powtórzyć. — 5 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w każd. Główkę rozpocząć od jednego z bocznych Na frendzelkę w przednim brzegu wykonać włógów na założeniu 28 oczek tam i napowrót tym założenia 80 centim. dług. i na tym powracającym ścięciem co karczek. Falbankę wykonać w pokolej: 5 ocz. opuścić, 1 słup. w następ. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu łuków jak następuje: 1 ścis. oczko w następ. ocz., następnie kolejie ciągle powracając, naprzemian: 1 pow. ocz., 1 ścis. oczko, 4 słup. przedziel. pikotem włóczką gładką i jedwabną jak następuje: — 2 pow. ocz. i 1 ścis. oczko w górną poprzeczną żyłkę tylko na środkowych 65 ocz. założenia 1-ej kol. przedniego rzędu słupków) w 2 z rzędu, od * powtórzyć 1 kolej koronki. — 3 kolej: jak kolej 2. Połączyć karczek z główką, którą podłożyć ki, ale z obydwóch boków nieco dłużej, jak kol. szlifem, przyczem karczek należy stosownie do poprzednia. Następne kolejie na całej wykonywaćby nieco przyciągnąć. Wykonać podszewkę gości a mianowicie 4 do 6 kolej jak poprzednie. Włóczką ścięciem tunetańskim bardzo luźno na założę a 7 kolej do 9, jak 3 do 5 kolej koronki. Pół 70 ocz. Po wykończeniu otoczyć rzędem łuków giej stronie założenia wykonać na środku 40 słup. naprzemian: 2 ścis. oczka w następne 2 ocz. za- 2 kolej, jak 1 i 2 koronki i wykonać potem następn. 6 pow. ocz., przez takowe należy przewlec całej długości jeszcze 2 kolejie, jak dwie ostatnie. Wykonać kapturek podług ryciny, zdo- Karczek wyłożyć wzdłuż kropkowanej linii i złożyć z główką od 77 do 78, następnie obydwie ści z falbanką a podszewkę wykonać zwy- włóczką zwyczajną podług fig. 63 i 64. Na z- czenie po połączeniu części wykonać naokoło 2 słupków, otoczyć frendzelką i przybrać wstążką dług ryciny.

Kapturek dla panienki od 1 — 2 lat (robota drutowa i szydełkowa).

Rycina Nr 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 66).

Kapturek wykonany włóczką „zefir“ kolor- lego. Rozpocząć od dolnego brzegu karczka powiedniej ilości oczek i w poprzek tam i nap- wykonywać jak następuje. — 1 kolej: 3 pow. oczka, 2 oczka z 2 i z 1 z tychże zebrać, 2 z następn. 2 z założenia; zebrane na szydełku 1 przerobić, * 4 ocz. zebrać a mianowicie: 1 pow. znajdującą się żyłki przerobionej przedtem, 2 z tylnej żyłki przedtem zebranego 4 ocz. i 3, z następn. 1 ocz. założenia. Znajdujące się na- delku 1 ocz. przerob., od * powtórzyć. — 2 kolej: ocz., potem ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w ocz., 1 ściśle łańcuszkowe oczko w tylną żyłkę jedwabiem. Zeszyć części po dwóch w od- oczka. Powtarzać ciągle poprzednie 2 kolejie.

Poduszka do szpilek (ściąg płaski).

Rycina Nr 21 i 22.

Skrajać 2 części tkaniny „kongres“ 9 centim. kości w kwadrat. Część wierzchnią ozdobić haf- podług ryc. Nr 21. Brzeg rozpołowioną filozelą w dwóch cieniach ścięciem płaskim. Rząd zębów ze ścięciem część środkową, ścięciem stebnowa- i saperskim jedwabiem żółtym. Zaopatrzyc połowy podszewką z atlasu żółtawego i otoczyć teczkiem jedwabnym. Zeszyć części po dwóch i wewnątrz umieścić dwie części fanelki wy- w wąbki.

Część haftu na taboret, poduszkę i t. p.

Rycina Nr 23.

Haft wykonany na kanwie niedzielonej cienką burską włóczką i filozelą w kilku cieniach. Po przeniesieniu deseni na tło, wykonać kwiaty rozma- i kolorami ścięciem płaskim, częścią włóczką, czę- jedwabiem. Liście włóczką zieloną również w kil- od cieniach ścięciem płaskim i gałązkowym. Tło

wypełnić jedwabiem kolorem ciec- mno-oliwkowym, przejmując przez 8 nitki na wysokość.

Suknia dla panienki od 2 — 3 lat.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 44. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 57—62).

Sukienka z materiału wełnianego jasno-niebieskiego, ozdobiona białą koronką. Skrajac z podszewki fig. 57 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 59 dwie części i fig. 61 rękawy. Następnie z materiału fig. 58, 60 i 62 po dwie części, ostatnią złożoną wzdłuż środka. Zwrócić należy uwagę na kontury spodniej części fig. 61 i 62. Po obłożeniu mate- ryałem fig. 57 pomiędzy liniami i przyozdobieniu koronką podług ry- ciny, wtedy wyłożyć przednie czę- ści z materiału wzdłuż linii zgię- cia, ułożyć w fałdy takowe, jako też plecy z materiału każdy ½ na krop- pe i przyfastygować do podszew- ki w stosownych miejscach podług

Poduszeczka do szpilek (ściąg płaski i krzyżowy).

Rycina Nr 4 i 5 w Bl. Nr 44.

Poduszeczka 12 centim. wielkości w kwadrat wypchana otrębami, pokryta po wierzchniej stro- nie częścią haftu wykonanego na cienkiej tkani- nie „kongres“ koloru żółtawego, dwa zaś naroż- niki pokryte atlasem koloru różowego, który jak wskazuje rycina ma tworzyć rodzaj wyłożenia. Dolna część poduszeczki tymże samym atlasem podszyta. Sznurowadło różowy jedwabny wykoń- cza całość podług ryciny. Haft wykonać podług ryc. Nr 5 (przedstawiającej część oryginalnej wielkości) rozpołowioną filozelą koloru różowego



Nr 15. Suknia z sukna. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12—18).

Nr 16. Suknia z materiału wełnianego „Diagonal“.



Nr 17. Suknia z sukna (do ryc. Nr 9 i 13). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 31—42.

Nr 18. Płaszczek podszyty i obłożony futrem. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 19—24).

i białego ściąganiem płaskim. Ściąg krzyżowy wykonać kordonkiem jedwabnym koloru oliwkowego, przejmując tkaninę przez trzy nitki na wysokość i na szerokość.

Płaszczek „Margaret.”

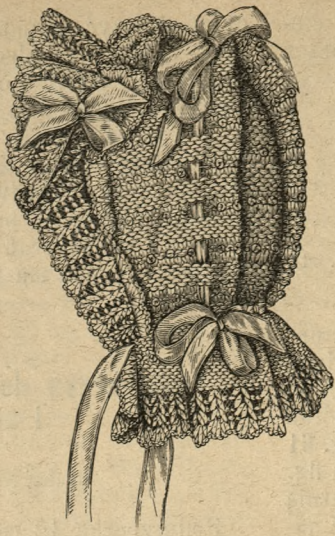
Rycina Nr 7 w Bl. Nr 44.

Płaszczek krojem surducika z połami przydłużonymi z przodu w rodzaju mantylki i z rękawami bufiastymi. Wykonany z sukna fantazyjnego koloru popielatego w deseń aksamitny koloru orzechowego. Plecy wcięte z spódnicą marszczoną. Przybranie i otoczenie ze skunksa oraz pasmanteryja jedwabna i brandebury. Toczek z aksamitu niebieskiego, przybrany piórami popielatymi i ozdobami złotymi.

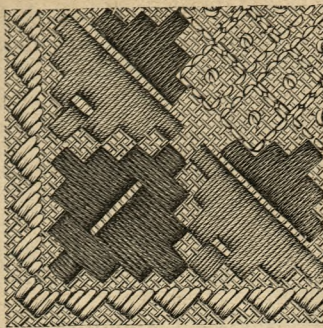
Frendzla pasmanteryjna do ozdoby kominka, kosza do papierów itp. (robotą szydełkową).

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 44.

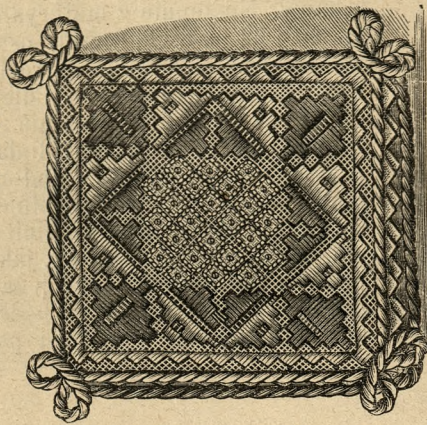
Frendzla wykonana niemi brokat, sznurkiem złotym i japońską złotą nitką, złożona z pojedyn-



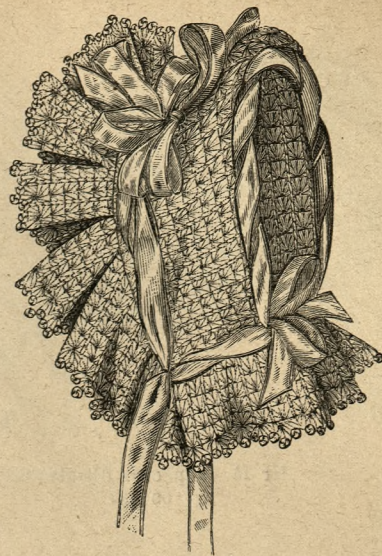
Nr 19 Kapturek dla rącznej dziewczynki (robotą drutową i szydełkową). Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 63—64.



Nr 21. Czwarta część haftu do poduszczyki Nr 22.



Nr 22. Poduszczyk do szpilek (ściąg płaski) do ryc. Nr 22.



Nr 20. Kapturek dla panienci od 1—2 lat (robotą szydełkową). Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 65.

czych zębów, połączonych w górnym brzegu kilkoma kolejami i mocowanych na biał koloru „terracota.” Grelotki wykończają całość. Deseń jest wyraźny i łatwy i niewidziemy potrzeby szczegółowego opisu roboty.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rumiana.
2. Paszteciki w francuzkiem cieście.
3. Sztukamięsa z ogórkami.
4. Zając z sałatą z kapusty czerwonej.
6. Placek ze śliwkami.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru *Bluszczu*.



Nr 23. Część haftu na taboret, poduszkę i t. p.